

ANDREA Camilleri



Kształt wody



NOIR SUR BLANC

Spis treści

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

Nota autora

Andrea Camilleri

KSZTAŁT WODY

Przełożył
Jarosław Mikołajewski

Noir sur Blanc

Tytuł oryginału: LA FORMA DELL'ACQUA

Posłowie: JAROSŁAW MIKOŁAJEWSKI

Opracowanie redakcyjne: MIROSŁAW GRABOWSKI

Korekta: MACIEJ KORBASIŃSKI

Projekt okładki: OLGIERD CHMIELEWSKI

Fotografia na okładce: WOJCIECH KARLIŃSKI

Copyright © 1994 Sellerio editore, via Siracusa 50, Palermo

For the Polish edition

Copyright © 2007, Noir sur Blanc, Warszawa

For the Polish translation

Copyright © 2001 Jarosław Mikołajewski

Wydanie I elektroniczne

Warszawa 2013

ISBN 978-83-7392-420-8

Oficyna Literacka Noir sur Blanc Sp. z o.o.

ul. Frascati 18, 00-483 Warszawa

e-mail: nsb@wl.net.pl

Księgarnia internetowa: www.noirsurblanc.pl

Konwersja: [eLitera s.c.](http://eLitera.s.c.)

1

Światło jutrzeńki nie przenikało do wnętrza siedziby spółki „Splendor”, której władze Vigaty powierzyły pieczę nad czystością miasta. Niskie i gęste chmury zasnuwały niebo, jak gdyby na całej jego powierzchni rozpięto szarą zasłonę. Liście były nieruchome, sirocco niechętnie budziło się z ołowianego snu, nawet słowa z trudem wydobywały się z ust. Przed odczytaniem przydziałów dyspozytor poinformował, że tego dnia – i jeszcze przez kilka następnych – Peppe Schemmari i Caluzzo Brucculeri będą nieobecni, ale ich nieobecność jest usprawiedliwiona. I to jeszcze jak usprawiedliwiona! Minionego wieczoru zostali aresztowani za napad z bronią w rękę na kasę supermarketu. Pino Catalano i Saro Montaperto, młodzi geometrzy zatrudnieni czasowo jako „operatorzy ekologiczni” – za wielkodusznym wstawiennictwem senatora Cusumano, w którego kampanię wyborczą zaangażowali się ciałem i duszą (mówiąc ściśle: ich ciała zmuszone były zrobić o wiele więcej, niż miały na to ochotę dusze) – otrzymali od dyspozytora przydział na teren zwolniony przez Peppe i Caluzza. Był to sektor nazywany „pastwiskiem”, ponieważ w niepamiętnych czasach podobno hodowano tam kozy. Rozległy obszar na peryferiach miasta, porośnięty trzcinami i krzewami, ciągnął się do samej plaży. Po przeciwległej stronie piętrzyły się za nim ruiny wielkich zakładów chemicznych, które wszechobecny senator Cusumano otworzył w czasach, gdy mocno wiał wicher postępu i wiary w lepsze jutro.

Niebawem jednak wicher przemienił się w podmuch bryzy, aż w końcu całkiem oklapł; a przecież był w stanie wyrządzić szkodę większą niż tornado, pozostawiając za sobą liczną rzeszę ludzi pozbawionych pracy i

żyjących z zapomogi. Z obawy, że w fabryce znajdą schronienie blakające się po całych Włoszech czeredy „czarnuchów” i „nie całkiem czarnuchów” z Senegalu i Algierii, z Tunezji i Libii, otoczono ją wysokim murem, z za którego wciąż jeszcze wyzierały metalowe konstrukcje. Zaniedbane, zniszczone przez deszcz i sól morską, wyglądały jak projekty Gaudiego tworzone pod wpływem środków halucynogennych.

Jeszcze niedawno dla tych, których wówczas niezbyt szlachetnie określało się mianem śmieciarzy, praca na „pastwisku” była jak spacer: wśród papierzysk, toreb foliowych, puszek po piwie i coca-coli, ledwo przysypanych lub beztrosko pozostawionych górien widniały tu i ówdzie prezerwatywy, które ludziom rozbudzonym i obdarzonym fantazją przywodziły na myśl zabawne scenki i pozwalały wyobrazić sobie szczegóły namiętnego spotkania. Od roku jednak prezerwatyw było tu całe morze. Pewien minister o ciemnej i nieprzeniknionej twarzy godnej studiów Lombrosa, o myślach jeszcze bardziej mrocznych i nieprzeniknionych, wpadł bowiem na pomysł, który – jak mu się wydawało – rozwiąże problemy porządku publicznego na południu kraju. W pomysł ten wtajemniczył swojego kolegę, który sprawował pieczę nad wojskiem i wyglądał wypisz wymaluj jak jedna z postaci Pinokia. Ci dwaj genialni politycy wspólnie postanowili wysłać na Sycylię oddziały militarne z misją „kontroli terytorium”, by ulżyć karabinierom, policjantom, służbom informacyjnym, specjalnym oddziałom operacyjnym, policji skarbowej, drogowej, kolejowej i portowej, prokuraturze, grupom antymafijnym, antyterrorystycznym, antynarkotykowym, antywłamaniowym, antyuprowadzeniowym i innym, zaangażowanym w jakieś tam swoje poważne sprawy, które pominiemy tutaj z braku miejsca. W następstwie tego olśniewającego pomysłu, wcielonego w życie przez dwóch wybitnych polityków, poborowi, piemonckie maminsynki, nieopierzeni Friulańczycy, którzy jeszcze poprzedniego dnia cieszyli się

chłodnym, ostrym powietrzem swoich gór, pocili się teraz w prowizorycznych pomieszczeniach, zakwaterowani w miejscowościach zawieszonych metr nad poziomem morza, wśród ludzi, którzy mówili niezrozumiałym dialektem tworzonym nie tyle ze słów, ile z milczenia, z niepojętych ruchów brwi, z niezrozumiałej mimiki zmarszczek. Dostosowali się, jak tylko potrafili, w czym pomógł im młody wiek, a także wsparcie ze strony samych mieszkańców Vigaty, rozczulonych roztargnieniem i chłopcą bezradnością przybyszów. Tym, który sprawił, że ich wygnanie stało się mniej dokuczliwe, był jednak Gege Gullotta, człowiek rzutki, który dotąd musiał ukrywać swój naturalny talent alfonsa w szatach handlarza drobnicą. Dowiedziawszy się drogami tyleż krętymi, co ministerialnymi o rychłym przyjeździe żołnierzy, Gege doznał olśnienia. Chcąc przekuć ten przebłysk geniuszu na rzeczywistość i konkret, żwawo uciekł się do przychylności odpowiednich instancji, byleby tylko otrzymać wszystkie niezbędne, niezliczone i skomplikowane pozwolenia. „Odpowiednich instancji”, czyli kogoś, kto naprawdę sprawował kontrolę nad tym obszarem i komu nawet przez myśl nie przeszło, by wystawiać owe pozwolenia na papierze firmowym. Krótko mówiąc, Gege mógł uruchomić na „pastwisku” swój rynek wyspecjalizowany w handlu świeżym mięsem i lekkimi narkotykami, którymi dysponował w bogatym wyborze. Świeże mięso pochodziło na ogół ze Wschodu, z krajów nareszcie wyzwolonych spod jarzma komunizmu, który – jak powszechnie wiadomo – odbierał ludziom wszelką godność; nocą, w krzakach i na piachu „pastwiska”, ta odzyskana godność teraz na nowo nabierała blasku. Nie brakowało tu jednak i niewiast z Trzeciego Świata, transwestytów, transseksualistów, neapolitańskich chłopczyków i brazylijskich viados, do wyboru, do koloru, gotowych spełnić każde życzenie. I handel kwitł ku wielkiemu zadowoleniu żołnierzy, samego Gege oraz tego, kto mu wystawił pozwolenia, otrzymując w zamian należną

provizję.

Ciągnąc swoje wózki, Pino i Saro udali się na miejsce pracy. Wolnym krokiem, czyli tak, jak sunęli właśnie w tej chwili, na „pastwisko” szło się dobre pół godziny. Byli zmęczeni, lepili się od potu i przez pierwszy kwadrans milczeli.

Ciszę przerwał Saro.

– Ten Pecorilla to kutas – orzekł.

– Wielki kutas – zgodził się Pino.

Pecorilla był dyspozytorem odpowiedzialnym za przydział miejsc do sprzątania. Najwyraźniej żywił głęboką nienawiść do tych, którzy skończyli jakieś szkoły – on sam zdołał zaliczyć trzecią klasę w wieku czterdziestu lat, a i to dopiero po tym, jak Cusumano odbył poważną rozmowę z jego nauczycielem. Tak więc miejsca wyznaczał Pecorilla w ten sposób, że najbardziej poniżająca i ciężka praca spadała zawsze na barki tych trzech ludzi z jego brygady, którzy mieli maturę. Tego ranka przydzielił zatem Ciccuro Loreto odcinek nabrzeża, gdzie cumował statek pocztowy kursujący między Sycylią i Lampedusą. Oznaczało to, że Ciccuro, księgowy, będzie musiał zliczać kwintale odpadków, które hałaśliwe stada turystów – owszem, wielojęzycznych, lecz zbratanych absolutną pogardą dla higieny osobistej i publicznej – pozostawiły za sobą w sobotę i w niedzielę, zanim doczekały się wejścia na pokład. A kto wie, jakie cuda Pino i Saro znajdą na „pastwisku” po dwóch dniach żołnierskiej przepustki!

Na skrzyżowaniu ulicy Lincoln i alei Kennedy’ego (w Vigacie był również skwer Eisenhowera i zaułek Roosevelta) Saro przystanął.

– Zajrzę do domu, zobaczę, jak się czuje mały – powiedział do przyjaciela. – Zaraz wracam.

Nie czekając na odpowiedź Pina, wszedł do jednego z wieżowców, co najwyżej dwunastopiętrowych, które powstały mniej więcej w tym samym czasie co zakłady chemiczne i równie szybko popadły w ruinę. Od strony morza Vigata wyglądała jak parodia Manhattanu na małą skalę i być może właśnie podobieństwo pejzażu tłumaczyło zbliżone brzmienie jej nazwy.

Nene nie spał. W ogóle sypiał tylko od dwóch do trzech godzin dziennie, poza tym oczy miał zawsze otwarte, nigdy nie płakał – a czy to kto widział, żeby dziecko nie płakało? Dzień za dniem trawiła go jakaś choroba o nieznanym pochodzeniu, którą nie wiadomo jak należało leczyć. Lekarze z Vigaty nie umieli sobie z nią poradzić, trzeba by małego zawieźć do jakiegoś dobrego specjalisty, ale na to nie było pieniędzy. Kiedy tylko oczy dziecka i ojca się spotkały, Nene posmutniał, a czoło przecięła mu zmarszczka. Nie umiał mówić, lecz wystarczająco jasno wyraził swój wyrzut w stosunku do tego, który był odpowiedzialny za jego męczarnie.

– Czuje się trochę lepiej, gorączka opada – powiedziała żona, Tana, żeby pocieszyć Sara.

Niebo się w końcu przejaśniło i teraz świeciło słońce, od którego mogłyby popękać kamienie. W miejscu, gdzie kiedyś było tylne wyjście z fabryki, Saro opróżnił ze śmieci swój wózek już chyba dziesięć razy i bolało go w krzyżu. Nagle, na wysokości alejki, która biegła wzdłuż ogrodzenia i krzyżowała się z główną drogą, zobaczył na ziemi coś błyszczącego. Pochylił się, żeby popatrzeć z bliska. Był to wielki wisior w kształcie serca, wysadzany małymi brylantami, z ogromnym diamentem w środku. Przez otwór przechodził łańcuch ze szczerzego złota, przerwany w jednym miejscu. Prawa ręka Sara błyskawicznie podniosła naszyjnik i włożyła go do torby. Zupełnie jakby działała po swojemu, bez polecenia wydanego przez mózg, jeszcze otępiała z zaskoczenia. Saro wstał złany potem, rozejrzał się, ale

dokoła nie było żywego ducha.

Pino wybrał odcinek „pastwiska” położony bliżej plaży. W pewnej chwili jakieś dwadzieścia metrów od siebie zobaczył maskę samochodu, która wynurzała się z gęstych zarośli. Zatrzymał się, zdziwiony tym widokiem: to niemożliwe, żeby aż do siódmej rano przeciągnęła się czyjaś schadzka z prostytutką. Zaczął się skradać, ostrożnie stawiając stopy, zgięty w pół; dopiero na wysokości przednich świateł gwałtownie się wyprostował. Nic się nie stało, nikt go nie posłał do diabła, samochód wydawał się pusty. Pino podszedł jeszcze bliżej, aż w końcu zobaczył bezwładną męską sylwetkę na siedzeniu obok miejsca kierowcy, nieruchomą, jakby pogrążoną w głębokim śnie, z głową odchyloną do tyłu. Przez skórę czuł, że coś tu nie gra. Odwrócił się i zawołał przyjaciela. Ten nadbiegł, ciężko dysząc, z wybałuszonymi oczami.

– Co jest? Co tak wrzeszczysz? Odjebało ci?

W jego pytaniach pobrzmiwała złość, ale Pino uznał, że jest ona wynikiem zmęczenia.

– Spójrz tylko.

Zdobył się na odwagę, by podejść od strony kierowcy i szarpnąć za klamkę; na próżno – drzwi były zamknięte od wewnątrz. Saro zdążył już się uspokoić, więc razem spróbowali dotrzeć do drugich drzwi, o które częściowo opierało się ciało mężczyzny. Ale i z tego nic nie wyszło, ponieważ samochód, duże zielone BMW, stał tak blisko krzaków, że nie sposób było tam się przecisnąć. Wychylając się i kalecząc o kolce, zdołali jednak dokładniej przyjrzeć się twarzy tego człowieka. Nie spał, oczy miał otwarte i nieruchome. W tej samej chwili, kiedy zorientowali się, że jest martwy, obaj skamienieli ze zdziwienia i przerażenia: nie dlatego, że zobaczyli trupa, ale dlatego, że go rozpoznali.

– Czuję się jak w saunie – powiedział Saro, biegnąc szosą w kierunku kabiny telefonicznej. – To mi zimno, to znów gorąco.

Kiedy tylko otrząsnęli się z odrętwienia, uzgodnili, że zanim zawiadomią policję, zadzwonią jeszcze gdzie indziej. Telefon senatora Cusumano znali na pamięć. Saro wybrał numer, lecz zanim usłyszał pierwszy sygnał, Pino kazał mu odłożyć słuchawkę.

Saro odruchowo wykonał polecenie.

– Mamy go nie zawiadamiać?

– Zastanówmy się przez chwilę, pomyślmy, to poważna sprawa. A więc i ty, i ja dobrze wiemy, że senator gra rolę marionetki.

– Co to znaczy?

– Że za sznurki pociąga inżynier Luparello, który jest wszystkim, a raczej był wszystkim. Po jego śmierci Cusumano jest nikim, jest jak żebrak.

– I co z tego?

– Nic.

Ruszyli w kierunku Vigaty, ale po kilku krokach Pino zatrzymał przyjaciela.

– Rizzo – powiedział.

– Ja do niego nie zadzwonię, boję się, ja go nie znam.

– Ja też nie, ale i tak zadzwonię.

Numer podała mu telefonistka. Dochodziła dopiero za piętnaście ósma, ale Rizzo odebrał po pierwszym sygnale.

– Mecenas Rizzo?

– Tak, słucham.

– Przepraszam, panie mecenasie, że przeszkadzam tak wcześnie...

Znaleźliśmy inżyniera Luparello... chyba nie żyje.

Po chwili milczenia Rizzo spytał:

– I dlaczego pan dzwoni z tym do mnie?

Pino oniemiał: wszystkiego się spodziewał, tylko nie takiej odpowiedzi; wydała mu się dziwna.

– Jak to?! Przecież pan... pan jest jego najlepszym przyjacielem. Sądziłem, że to właściwe...

– Dziękuję. Ale przede wszystkim musicie wypełnić wasz obywatelski obowiązek. Do widzenia.

Saro wysłuchał całej rozmowy z policzkiem przyciśniętym do twarzy Pina. Popatrzyli na siebie, zdziwieni. Rizzo zareagował tak, jak gdyby dowiedział się o śmierci jakiegoś anonimowego włóczęgi.

– Co jest? Przecież się przyjaźnili, nie? – wymamrotał Saro.

– A co my wiemy? Możliwe, że się ostatnio pokłócili – uspokajał go Pino.

– I co teraz?

– Idziemy wypełnić nasz obywatelski obowiązek, jak powiedział mecenas.

Ruszyli w kierunku miasta, wprost do komisariatu. Przez myśl im nawet nie przeszło, żeby iść z tym do karabinierów – ich dowódcą był porucznik z Mediolanu. A komisarz policji pochodził z Katanii, nazywał się Salvo Montalbano i kiedy chciał coś zrozumieć, rozumiał bez trudu.

2

– Jeszcze.

– Nie powiedziała Livia, wpatrując się w niego oczyma rozżarzonymi od miłosnego napięcia.

– Proszę.

– „Nie” znaczy „nie”.

„Lubię kiedy to robisz wbrew mojej woli” – wyszeptała mu kiedyś do ucha, więc teraz, w przypływie podniecenia, spróbował włożyć kolano między zaciśnięte uda, chwycił ją gwałtownie za przeguby i rozłożył jej ramiona. Wyglądała jak ukrzyżowana. Dysząc, patrzyli na siebie, aż nagle ustąpiła.

– Tak – powiedziała. – Tak. Teraz.

I właśnie wtedy rozdzwonił się telefon. Nie otwierając oczu, Montalbano sięgnął nie tyle po słuchawkę, ile po rozchybotaną połę snu, który go nieodwołalnie opuszczał.

– Słucham! – Był wściekły na intruza.

– Panie komisarzu, mamy klienta – rozpoznał głos brygadiera Fazio.

Drugi podkomendny, Tortorella, leżał jeszcze w szpitalu z fatalną raną postrzałową brzucha. Otrzymał ją od faceta, który udawał mafiosa, a był po prostu nic niewartym fiutem. „Klient” w ich żargonie oznaczał nieboszczyka, którym należało się zająć.

– Kto to jest?

– Jeszcze nie wiemy.

– Jak go zabili?

– Nie wiemy. Nie wiemy nawet, czy w ogóle został zamordowany.

– Nie rozumiem. Budzisz mnie i nic nie wiesz?

Odetchnął głęboko, żeby się pozbyć bezsensownego rozdrażnienia, które rozmówca znosił z taką cierpliwością.

– Kto go znalazł?

– Dwaj śmieciarze. Na „pastwisku”, w samochodzie.

– Już jadę. Zadzwoń tymczasem do Montelusy, sprowadź ekipę i zawiadom sędziego Lo Blanco.

Myjąc się pod prysznicem, doszedł do wniosku, że denat musiał należeć do bandy Cuffaro. Przed ośmioma miesiącami, prawdopodobnie w wyniku sporu o granice wpływów, między rodzinami Cuffaro z Vigaty i Sinagra z Feli wybuchła gwałtowna wojna – jeden trup na miesiąc, na przemian, w porządku, od którego nie było odstępstw: raz w Vigacie, raz w Feli. Ostatni, niejaki Mario Salino, został zastrzelony w Feli przez tych z Vigaty, więc teraz przyszła widocznie kolej na jednego z bundy Cuffaro..

Przed wyjściem z domu – mieszkał samotnie w niewielkiej willi nad morzem, po jednej stron „pastwiska” – zapragnął zatelefonować do Genui. Livia odebrała natychmiast.

– Przepraszam – rzekł – ale chciałem usłyszeć twój głos.

– Śniłeś mi się – oznajmiła sennie. I zaraz dodała: – Byliśmy razem.

Montalbano już miał powiedzieć, że ona też mu się śniła, ale dziwnie się spieszył. Zamiast tego zapytał:

– A co robiliśmy?

– To, czego nie robimy już od dawna – odparła.

W komisariacie oprócz brygadiera zastał tylko trzech agentów. Pozostali byli w sklepie odzieżowym, którego właściciel zastrzelił siostrę podczas kłótni o podział spadku i uciekł. Montalbano otworzył drzwi pokoju przesłuchań. Dwaj śmieciarze siedzieli na ławce, jeden obok drugiego, bladzi pomimo upału.

– Czekajcie, zaraz wracam – rzucił, lecz tamci byli tak oteńiali, że nawet nie odpowiedzieli. Wiadomo, że kiedy ktoś trafia na policję, wszystko jedno z jakiego powodu, sprawy zawsze ciągną się długo. – Czy któryś z was zawiadomił dziennikarzy? – zwrócił się komisarz do swoich ludzi.

Zaprzeczyli, kręcąc głowami.

– Pamiętajcie: nie chcę, żeby się tu plątali.

Galluzzo nieśmiało zrobił krok do przodu i podniósł dwa palce, jak gdyby chciał spytać, czy może iść do ubikacji.

– Nawet mój szwagier?

Szwagier Galluzza był dziennikarzem stacji Telegigata, gdzie prowadził kronikę wypadków. Montalbano wyobraził sobie rodzinną kłótnię, do której by doszło, gdyby Galluzzo nic mu nie powiedział. I rzeczywiście, podwładny patrzył na niego błagalnym, psim wzrokiem.

– Dobrze. Niech przyjdzie, kiedy wyniosą zwłoki. I żadnych zdjęć.

Pojechali samochodem służbowym, zostawiając na posterunku jedynie Giallombarda. Za kierownicą siedział Peppe Gallo, który obok Galluza najczęściej był obiektem głupich kawałów o policjantach. Wiedząc, jak prowadzi, Montalbano go ostrzegł:

– Tylko nie pędź, nie ma takiej potrzeby.

Na zakręcie koło kościoła del Carmine kierowca jednak nie wytrzymał i przyspieszył z piskiem kół. Dał się słyszeć krótki huk, jak strzał z pistoletu, po czym samochodem zarzuciło. Wysiedli; prawa tylna opona pękła. Została

przecięta jakimś ostrzem – jego podłużne ślady były dobrze widoczne.

– Fiuty, skurwysyny! – wybuchnął brygadier.

Montalbano wściekł się nie na żarty.

– Przecież wiecie, że co dwa tygodnie przecinają nam opony! Jezu! Codziennie rano powtarzam, żebyście je sprawdzili przed wyjazdem! Ale wy, sukinsyny, macie to w dupie! Aż w końcu któryś z nas skręci kark!

Krzątanina przy wymianie koła zabrała im dziesięć minut, a kiedy dojechali do „pastwiska”, specjaliści z Montelusy znajdowali się już na miejscu. Byli na etapie medytacji, jak to nazywał Montalbano, czyli pięciu lub sześciu agentów chodziło dokoła samochodu, z pochylonymi głowami, trzymając dłonie w kieszeniach albo za plecami. Wyglądali jak filozofowie pogrążeni w głębokich rozmyślaniach, a tak naprawdę łazili z wytrzeszczonymi oczami, szukając na ziemi znaków, śladów, jakiegoś tropu. Ujrawszy Montalbana, Jacomuzzi, ich szef, wybiegł mu naprzeciw.

– Jak to, bez dziennikarzy?

– Nie chcę ich tutaj widzieć.

– Tym razem zabiją cię, że przepuścili przez ciebie taką wiadomość. – Był wyraźnie podekscytowany. – Czy słyszałeś już, kim jest denat?

– Nie, gadaj.

– Inżynier Silvio Luparello.

– O kurwa! – Montalbano zdobył się tylko na taki komentarz.

– A wiesz, jak zginął?

– Nie. I wcale nie chcę wiedzieć. Sam zobaczę.

Jacomuzzi obraził się i wrócił do ekipy. Fotograf zrobił już swoje, teraz przyszła kolej na doktora Pasquano. Zmuszony pracować w niewygodnej pozycji, do połowy zagłębiony w samochodzie, przechylał się w kierunku

miejscu obok kierowcy, gdzie Montalbano dostrzegł ciemną sylwetkę. Fazio i agenci z Vigaty pomagali kolegom z Montelusy. Komisarz zapalił papierosa i popatrzył w stronę zakładów chemicznych. Fascynowały go te ruiny. Obiecał sobie, że któregoś dnia sfotografuje to miejsce, wyśle zdjęcia Livii i w ten sposób opowie jej o sobie i o swojej ziemi, której ona jeszcze nie potrafiła zrozumieć.

Tymczasem przyjechał sędzia Lo Bianco. Wysiadł z samochodu, nie kryjąc podniecenia.

– Czy denat to naprawdę inżynier Luparello?

Jacomuzzi wyraźnie nie tracił czasu.

– Tak się wydaje.

Sędzia dołączył do ekipy z sądówki. Zaczął rozmawiać wzburzonym głosem z Jacomuzzim i z doktorem Pasquano, który wyciągnął z torby butelkę alkoholu i zdezynfekował dłonie. Po dłuższej krzątaninie, podczas której Montalbano zdążył nawet przypiec się trochę na słońcu, ludzie z sądówki wsiedli do samochodu i odjechali. Przechodząc obok komisarza, Jacomuzzi nawet się z nim nie pożegnał. Montalbano usłyszał, jak za jego plecami zawyła syrena ambulansu. Teraz przyszła kolej na niego, musiał się wziąć do pracy, nie było rady. Otrząsnął się z otępienia i skierował kroki w stronę samochodu z denatem.

W połowie drogi zatrzymał go sędzia.

– Ciało może zostać przewiezione. A zważywszy na to jak znaną postacią był biedny inżynier, im bardziej się pospieszymy, tym lepiej. W każdym razie proszę mnie codziennie informować o rozwoju śledztwa. – Zamilkł na chwilę, a potem, chcąc złagodzić stanowczość ostatnich słów, powiedział: – Proszę dzwonić, kiedy tylko uzna pan za stosowne. – Znow zamilkł, po czym dodał: – W godzinach urzędowania, ma się rozumieć.

Oddalił się. W godzinach urzędowania i nie do domu. W domu, co było rzeczą powszechnie wiadomą, sędzia Lo Bianco oddawał się tworzeniu ważnej i poważnej książki: *Życie i dzieła Rinalda i Antonia Lo Bianco, bakałarza Uniwersytetu w Agrygencie za panowaniu króla Marcina Młodego (1402-1409)*. Tytułowych bohaterów uważał za swoich przodków, dalekich wprawdzie, ale jednak.

– Jak zginął? – spytał Montalbano lekarza.

– Niech pan sam zobaczy – odpowiedział Pasquano, przesuwając się na bok.

Komisarz zajrzał do samochodu, w którym było gorąco jak w piecu (a raczej jak w krematorium), pierwszy raz spojrzął na nieboszczyka i natychmiast pomyślał o kwestorze. Nie dlatego, że miał w zwyczaju wznosić myśli ku przełożonym na początku każdego dochodzenia, lecz wyłącznie dlatego, że ze starym kwestorem Burlando, z którym był zaprzyjaźniony, dziesięć dni temu rozmawiał o książce Ariesa *Człowiek i śmierć*, którą obaj właśnie przeczytali. Kwestor twierdził, że śmierć, nawet najpodlejsza, w każdym przypadku należy do sfery *sacrum*. Montalbano sprzeciwiał się, mówiąc, że w żadnej śmierci, nawet w śmierci papieża, żadnego *sacrum* dostrzec nie umie. Chciałby, żeby kwestor stanął teraz przy nim i zobaczył to, na co on sam właśnie patrzył. Inżynier, zawsze nieskazitelnie elegancki, zadbany w każdym szczególe wyglądu, teraz był bez krawata, koszulę miał rozpiętą, przekrzywione okulary, kołnierz marynarki niechlujnie podniesiony do połowy, skarpetki opuszczone i niemal wywinięte na półbuty. Najbardziej jednak uderzył komisarza widok opuszczonych do kolan spodni, z białymi majtkami wewnątrz, i koszuli, podwiniętej razem z podkoszulkiem aż do piersi. I przyrodzenia – ohydnie wystającego, nabrzmiałego, w kępie włosów, brutalnie kontrastującego z delikatnym zarysem reszty ciała.

– Ale jak zginął? – zapytał ponownie lekarza, wysiadając z samochodu.

– To chyba jasne, nie? – odparł nieuprzejmie Pasquano. – Czy wiedział pan, że biedny inżynier przeszedł operację serca, którą przeprowadził znany londyński kardiochirurg?

– Prawdę mówiąc, nie miałem o tym pojęcia. Kiedy widziałem go w środę w telewizji, wydawał się w doskonałej formie.

– Wydawał się, ale nie był. Wie pan, wszyscy politycy są jak psy. Kiedy tylko zwietrzą, że nie możesz się bronić, zagryzą cię. W Londynie założono mu chyba dwa by-passy. Podobno wcale nie poszło łatwo.

– A u kogo się leczył w Montelusie?

– U doktora Capuano. Chodził na badania co tydzień, dbał o zdrowie, zależało mu na wyglądzie.

– Może warto, żebym porozmawiał z doktorem Capuano?

– Nie ma sensu. To, co wydarzyło się tutaj, nie budzi najmniejszych wątpliwości. Biedny inżynier miał ochotę sobie popieprzyć, kto wie, może z jakąś egzotyczną kurwą. Jak postanowił, tak zrobił, i tyle.

Lekarz zorientował się, że Montalbano patrzy nieobecny wzrokiem.

– To pana nie przekonuje?

– Nie.

– A dlaczego?

– Prawdę mówiąc, sam nie wiem. Czy jutro będę mógł zobaczyć wyniki autopsji?

– Jutro?! Oszalał pan! Przed inżynierem czeka mnie jeszcze ta zgwałcona dwudziestolatka, którą odnaleziono w chałupie za miastem po dziesięciu dniach, na pół zżartą przez psy. Potem przyjdzie kolej na Foto Greco, któremu ucięli język i jaja, zanim powiesili go na drzewie. Potem jeszcze...

Montalbano uciął tę makabryczną wyliczankę.

– Doktorze Pasquano, do rzeczy. Kiedy dostanę wyniki?

– Pojutrze, o ile nie każą mi biegać w lewo i w prawo do innych nieboszczyków.

Pozegnali się. Montalbano zawołał brygadiera i jego ludzi, powiedział, co mają robić i kiedy przenieść ciało do ambulansu, a Gallowi kazał się zawieźć do komisariatu.

– Potem wrócisz po resztę. A jeśli będziesz jechał jak wariat, nogi ci powyrywam.

Pino i Saro podpisali zeznania, w których szczegółowo został zrelacjonowany każdy ich ruch przed znalezieniem i po znalezieniu zwłok. Brakowało tam tylko dwóch ważnych informacji, których śmieciarze woleli nie przekazywać policji. Pierwsza z nich to ta, że od razu rozpoznali denata, druga – że o odkryciu natychmiast zawiadomili mecenasa Rizzo. Wrócili więc do domów – Pino, błądząc myślami gdzieś daleko, i Saro, sprawdzając co jakiś czas, czy w jego kieszeni nadal znajduje się naszyjnik.

Przez najbliższą dobę nic nowego nie miało się wydarzyć. Montalbano po południu wyciągnął się na łóżku i trzy godziny spał głęboko. Następnie wstał i poszedł wykąpać się w morzu, które w połowie września było gładkie jak stół. Kiedy wrócił do domu, ugotował sobie talerz spaghetti z małżami i włączył telewizor. Wszystkie stacje lokalne mówiły oczywiście o śmierci inżyniera i wychwalały go pod niebiosa. Co jakiś czas pojawiał się to jeden, to drugi polityk, który ze stosowną miną wymieniał zasługi nieboszczyka i konsekwencje jego zgonu, ale nawet jedyny dziennik opozycyjny nie odważył się powiedzieć, gdzie i w jakich okolicznościach świętej pamięci Luparello rozstał się z życiem.

3

Saro i Tana nie mogli zasnąć. Nie mieli wątpliwości, że znalazł skarb, zupełnie jak w opowieściach, w których ubodzy pasterze natrafiają na garnce wypełnione złotymi monetami albo na wysadzone brylantami drogocenne przedmioty. Ale różnice między rzeczywistością i legendą wydawały się znaczące: naszyjnik, współczesny wyrób, został zgubiony poprzedniego dnia – temu nie dało się zaprzeczyć – i już na pierwszy rzut oka było widać, że wart jest fortunę. Czy to możliwe, że nikt nie zgłosił zguby? Siedzieli przy kuchennym stole, włączywszy telewizor i otworzywszy szeroko okna, jak każdego wieczoru, żeby najmniejszym choćby odstępstwem od codziennych zwyczajów nie dostarczyć sąsiadom tematu do plotek i nie obudzić wzmożonej czujności. Kiedy mąż zasugerował, że sprzeda naszyjnik nazajutrz, tuż po otwarciu pracowni jubilerskiej braci Siracusa, Tana bez namysłu zaprotestowała.

– Przed wszystkim – powiedziała – oboje jesteśmy uczciwymi ludźmi, a więc nie możemy sprzedać czegoś, co do nas nie należy.

– A więc co mam zrobić? Iść do kierownika, powiedzieć, że znalazłem naszyjnik, i przekazać mu zgubę, żeby ją zwrócił, kiedy zgłosi się właściciel? Nie minęłoby dziesięć minut, a ten sukinsyn Pecorilla sam by popędził do jubilera.

– Możemy zrobić jeszcze inaczej. Pecorillę tylko zawiadomimy, a naszyjnik będziemy trzymali w domu. Jeśli ktoś się po niego zgłosi, oddamy.

– I co z tego będziemy mieli?

– Jakiś procent, znaleźne. Jak myślisz, ile to jest warte?

– Ze dwadzieścia milionów – odparł Saro i wydało mu się, że przesadził.
– Załóżmy więc, że wpadną nam w ręce dwa miliony. I jak my sobie damy radę ze wszystkimi opłatami za leczenie Nene?

Przerwali rozmowę dopiero o świcie, tylko dlatego, że Saro musiał iść do pracy. Lecz przedtem doszli do wstępnego porozumienia, które częściowo pozwalało im zachować uczciwość – zatrzymają drogocenny przedmiot, nikomu o niczym nie mówiąc, odczekają tydzień, a potem, jeżeli nikt nie będzie szukał naszyjnika, pójdą go sprzedać.

Kiedy Saro, gotowy do wyjścia, poszedł pocałować synka na pożegnanie, spotkała go niespodzianka – Nene był pogrążony w głębokim śnie, spokojny, jak gdyby wiedział, że ojciec znalazł sposób, aby zapewnić mu kurację.

Również Pino tej nocy nie mógł zasnąć. Skłonny do rozmyślań, lubił teatr, a nawet, choć coraz rzadziej, grywał w kółkach amatorskich w Vigacie i okolicach. Czytywał też teksty dramatów. Kiedy tylko pozwalała mu na to marna pensja, biegł w podskokach do jedynej księgarni w Montelusie, żeby zaopatrzyć się w komedie i tragedie. Mieszkał razem z matką, która dostawała jakąś tam emeryturę, więc zawsze mieli co włożyć do garnka. Tego wieczoru matka kazała mu trzy razy opowiadać o nieboszczyku, nalegając, żeby jak najdokładniej opisał zwłaszcza jeden szczegół, jeden fragment. Chciała powtórzyć to następnego dnia przyjaciółkom z kościoła i z targu, chełpiąc się, że zdołała dotrzeć do wszystkich tych wiadomości, i chwając się synem, który tak dzielnie dał się wplątać w całą tę historię. Około północy wreszcie się położyła, a niebawem i Pino zaszył się w pościeli. Ale w żaden sposób nic mógł zasnąć. Coś sprawiało, że przewracał się pod przykryciem z boku na bok. Jako że lubił rozmyślać, po dwóch godzinach daremnej walki z bezsennością przekonał sam siebie, że to coś wymaga zastanowienia. Wstał, odświeżył się i usiadł przy biurku, które stało w jego sypialni. Powtórzył sobie relację, którą złożył matce, i wszystko szło

gładko, wszystko się z sobą wiązało, świerszcz za uchem siedział cicho. Jak w zabawie w ciepło-zimno: dopóki przypominał sobie wszystko to, co opowiedział mamie, świerszcz wydawał się cykać: „Ciepło, ciepło”. A zatem niepokoiło Pina coś, co przed matką zataił. A zataił przed nią to, co w porozumieniu z Sarem pominął również w rozmowie z Montalbanem: że od razu rozpoznali zwłoki i że zadzwonili do mecenasa Rizzo. I rzeczywiście, w tym miejscu świerszcz zaczynał hałasować, wołał: „Zimno, zimno!” Pino wziął zatem kartkę i pióro i zapisał słowo w słowo całą rozmowę z adwokatem. Przeczytał, naniósł poprawki, wyteżając pamięć na tyle, by móc odnotować, jak w tekście dramatu, nawet pauzy. Kiedy skończył, przeczytał ostateczną wersję. A jednak coś w tym dialogu pozostawało nie tak. Ale było już późno, musiał iść do siedziby firmy „Splendor”.

Na Sycylii ukazują się dwa dzienniki – jeden w Palermo, drugi w Katanii. Lekturę pierwszego z nich przerwał Montalbanowi kwestor, który zadzwonił do niego do biura.

– Muszę przekazać panu podziękowania – zaczął kwestor.

– Doprawdy? Od kogo?

– Od biskupa Teruzziego i od naszego ministra. Jego ekscelencja docenił chrześcijańskie miłosierdzie, tak właśnie się wyraził, które... jak by to powiedzieć... pan okazał, uniemożliwiając dziennikarzom i fotoreporterom, pozbawionym skrupułów i poczucia przyzwoitości, robienie fotografii i upowszechnianie wulgarnych ujęć nieboszczyka.

– Ależ ja wydałem ten rozkaz, zanim się dowiedziałem, kim jest denat. Postąpiłbym tak bez względu na jego tożsamość!

– Wiem o wszystkim, powiadomił mnie Jacomuzzi. Ale dlaczego miałbym wyjawiać ten błahy szczegół świątobliwemu dostojnikowi? Żeby go rozczarować co do chrześcijańskiego miłosierdzia, którym się pan wykazał?

A miłosierdzie nabiera tym większej wartości, im wyższa jest pozycja osoby, którą nim obdarzono. Czy to jasne? Proszę sobie wyobrazić, że biskup zacytował nawet Pirandella..

– Niemożliwe!

– Ależ, tak. Zacytował *Sześć postaci*, kwestię ojca, kiedy mówi, że nie można bez przerwy ponosić skutków niezbyt wzniosłego czynu, popełnionego wskutek chwilowego błędu, jeśli całe dotychczasowe życie upłynęło bez skazy. Co miałoby oznaczać, że nie można pozostawiać potomnym wizerunku inżyniera ze spuszczoneymi chwilowo spodniami.

– A minister?

– Minister co prawda nie cytował Pirandella, bo nie wie nawet, czym to się je, ale pokrętnie i nudno wyraził podobną myśl. A że należy do tej samej partii co Luparello, pozwolił sobie dorzucić jeszcze jedno słowo.

– Jakie?

– „Roztropność”.

– A co ma do tego roztropność?

– Nie wiem, ale tak właśnie powiedział.

– Czy znane są już wyniki autopsji?

– Jeszcze nie. Pasquano chciał trzymać zwłoki w lodówce do jutra, ale kazałem mu je zbadać jeszcze dziś rano albo przed południem. Choć nie sądzę, żeby czekały nas tu jakieś niespodzianki.

– Też tak myślę – zgodził się komisarz.

Kiedy Montalbano pogrążył się ponownie w lekturze gazet, wyczytał z nich znacznie mniej o życiu, cudownych dziełach i niedawnym zgonie inżyniera Luparello, niż sam wiedział, toteż odświeżył sobie tylko pamięć. Potomek rodu budowniczych Montelusy (jego dziadek zaprojektował stary

dworzec, a dziełem ojca był pałac sprawiedliwości), młody Silvio, po błyskotliwej obronie pracy dyplomowej na politechnice w Mediolanie, wrócił w rodzinne strony, żeby kontynuować i uświetnić tradycje rodzinne. Jako praktykujący katolik kierował się w polityce ideami dziadka, który był zaangażowanym zwolennikiem don Luigiego Sturzo (idee ojca, bojówkarza i uczestnika marszu na Rzym, pomijało się w domu należyтым milczeniem). Ostrogi zdobywał w organizacji Fuci, która skupiała katolicką młodzież uniwersytecką i w której on sam rozsnął gęstą sieć przyjaźni. Od tego czasu w każdej manifestacji, na każdym święcie czy kongresie Silvio Luparello występował w towarzystwie przywódców partii, lecz zawsze o krok za nimi, uśmiechając się półgębkiem na znak, że to miejsce wynika z jego własnego wyboru, a nie z rzeczywistej pozycji w hierarchii. Kilkakrotnie zgłaszany jako kandydat w wyborach politycznych i administracyjnych, za każdym razem rezygnował, podając do publicznej wiadomości wzniosłe powody. Przywoływał przy tym zawsze cnotę pokory i służby sprawowanej w ciszy i w cieniu, stanowiącej o wartości katolika. I tak w ciszy i w cieniu służył przez prawie dwadzieścia lat, aż pewnego dnia, uzbrojony we wszystkie informacje, które w tymże cieniu zdołał wyłowić przenikliwym wzrokiem, podporządkował sobie całkiem liczną świtę przybocznych, z senatorem Cusumano na czele. Liberię Luparella przywdziali następnie senator Portolano i poseł Tricomi (lecz gazety wołały nazywać ich „bliskimi przyjaciółmi”, „oddanymi uczniami” inżyniera). Krótko mówiąc, w Montelusie i w całej prowincji zarówno ster partii, jak i osiemdziesiąt procent zamówień publicznych i prywatnych trafiły w jego ręce. Trzęsienie ziemi, które wywołało kilku mediolańskich sędziów i które wstrząsnęło klasą polityczną sprawującą władzę od pięćdziesięciu lat, nie zagroziło mu w minimalnym stopniu. Wręcz przeciwnie: jako że zawsze stał w cieniu, teraz mógł wybić się z tła, wyjść na światło dzienne i grzmieć przeciwko korupcji

partyjnych kolegów. W ciągu roku, a nawet jeszcze szybciej, jako herold odnowy został z woli członków sekretarzem regionalnym. Niestety, od triumfalnej nominacji do śmierci minęły zaledwie trzy dni. Jedna z gazet ubolewała właśnie nad tym, że tak nieskazitelnej i wybitnej postaci zły los nie pozwolił przywrócić partii jej dawnej świetności. We wspomnieniach obie gazety przywoływały zgodnie niebywałą szczodrość i wielkoduszność inżyniera oraz gotowość do niesienia pomocy przyjaciołom i wrogom, bez względu na przynależność, w ich każdym bolesnym doświadczeniu. Montalbano przypomniał sobie film dokumentalny, emitowany przed rokiem przez jedną ze stacji lokalnych, i przeszedł go dreszcz. W Belfi, miasteczku, w którym urodził się jego dziadek, Silvio otwierał niewielki sierociniec nazwany imieniem przodka. Dwadzieścioro dzieciaków, wszystkie jednakowo ubrane, śpiewało piosenkę dziękczynną ku czci inżyniera, a ten słuchał ze wzruszeniem. Słowa tej piosenki na zawsze utkwily w pamięci komisarza: „Każde dziecko serce szczere składa dziś przed inżynierem”.

Gazety nie tylko pomijały okoliczności śmierci, lecz również ignorowały pogłoski, które ludzie powtarzali sobie od lat, komentując niepubliczne zgoła sprawy, w jakie był zamieszany inżynier. Mówiło się o ukartowanych przetargach, o miliardowych łapówkach, o naciskach, z szantażem włącznie. I zawsze pojawiało się w tym kontekście nazwisko mecenasa Rizzo, który niegdyś był gońcem, następnie zaufanym, aż w końcu stał się alter ego Luparella. Lecz były to tylko pogłoski, opinie wyssane z palca. Mówiło się również, że Rizzo pełnił rolę pomostu między inżynierem i mafią, i właśnie tych związków dotyczył raport, który komisarz zobaczył kiedyś ukradkiem, a który donosił o operacjach walutowych i praniu brudnych pieniędzy. Były to oczywiście podejrzenia, które nigdy nie stały się niczym więcej, ponieważ nigdy nie miały okazji się potwierdzić: wszelkie wnioski o wszczęcie dochodzenia ginęły w meandrach tego samego pałacu sprawiedliwości, który

zaprojektował i wybudował ojciec inżyniera.

W porze obiadowej Montalbano zadzwonił do patrolu interwencyjnego w Montelusie i poprosił inspektor Ferrarę. Była córką jego kolegi ze szkoły, który wcześniej się ożenił. Nie wiedzieć czemu, ta sympatyczna i dowcipna dziewczyna co jakiś czas próbowała zaciągnąć komisarza do łóżka.

– Anna? Chcę cię o coś prosić.

– Niemożliwe!

– Czy masz trochę czasu po południu?

– Postaram się mieć, komisarzu. Do dyspozycji, w dzień i w nocy. Na twoje rozkazy lub jeśli wolisz, na twoje kaprysy.

– A więc przyjadę po ciebie do Montelusy, do domu, około trzeciej.

– Co za radość!

– Anno, i jeszcze jedno. Postaraj się wyglądać jak kobieta.

– Wysokie obcasy, minispódniczka z rozparkiem?

– Wystarczy, że nie będziesz w mundurze.

Po drugim klaksonie Anna wyszła z bramy, nieskazitelnie ubrana w spódniczkę i bluzkę. Nie pytała o nic, tylko pocałowała Montalbana w policzek. Odezwała się dopiero wtedy, gdy samochód wjechał w pierwszą z trzech alejek, które prowadzą z szosy na „pastwisko”.

– Jeżeli chcesz mnie przelecieć, jedźmy do twojego domu. Tu mi się nie podoba.

Na „pastwisku” były tylko dwa albo trzy samochody, ale siedzące w nich osoby wyraźnie nie należały do nocnych klientów Gege Gullotty – byli to studenci i studentki, pary nastolatków, które nie miały lepszego miejsca na miłość. Montalbano dojechał do końca alejki i zatrzymał się w miejscu, gdzie

przednie koła zaczynały grzęznąć w piachu. Gęste zarośla, w których odnaleziono BMW inżyniera, znajdowały się na lewo i tędy nie można było do nich dojechać.

– Czy to tutaj go znaleźli? – spytała Anna.

– Tak.

– Czego szukasz?

– Jeszcze nie wiem. Wsiądźmy.

Ruszyli w kierunku plaży. Montalbano objął Annę, przytulił, a ona z uśmiechem oparła mu głowę na ramieniu. Wreszcie zrozumiała, dlaczego komisarz ją tu przywiózł – mieli odegrać przedstawienie, wyglądać jak para zakochanych, którzy na „pastwisku” szukają samotności. W cywilu mieli nie ściągnąć na siebie niczyjej uwagi.

„A to skurwysyn! – pomyślała. – Gównu go obchodzi, co do niego czuję”.

W pewnej chwili Montalbano przystanął, odwrócony plecami do morza. Zarośla wyrastały przed nim o niecałe sto metrów w linii prostej. Nie było wątpliwości: BMW przyjechało nie którąś z alejek, lecz od strony plaży, i skręciwszy ku zaroślom, zatrzymało się przodem do starej fabryki, a więc na odwrót niż wszystkie samochody nadjeżdżające od szosy. Nie było tu dość miejsca na manewry i żeby powrócić na szosę, należało cofnąć się alejką, włączywszy wsteczny bieg. Komisarz przeszedł jeszcze kawałek, ze spuszczoną głową, wciąż tuląc Annę. Nie było widać śladów opon, zatarło je morze.

– I co teraz?

Najpierw zadzwonię do Fazia a potem odwiozę cię do domu.

– Komisarzu, czy mogę powiedzieć coś szczerze?

– Pewnie.

– Jesteś świnią.

4

– Pan komisarz? Mówi Pasquano. Czy można spytać, gdzie, u diabła, pan się podziewał? Szukam pana już od trzech godzin. W komisariacie nikt niczego o panu nie wiedział.

– Ma pan do mnie jakieś pretensje, doktorze?

– Do pana? Do wszelkiego stworzenia!

– A jaka to krzywda pana spotkała?

– Zmusili mnie, żebym najpierw zajął się inżynierem Luparello – dokładnie tak samo, jak kiedy jeszcze żył. Również po śmierci ten człowiek musi być lepszy od innych? Na cmentarzu też pewnie będzie leżał w pierwszym szeregu.

– Czy chciał mnie pan o czymś poinformować?

– Chcę panu powiedzieć to samo, co pan otrzyma na piśmie. Nic, ale to nic. Nieborak umarł z powodów naturalnych.

– To znaczy?

– Mówiąc nienaukowe: pękło mu serce, i to dosłownie. Co do reszty, to czuł się dobrze. Tylko pompa szwankowała, choć uprzejmie próbowano mu ją naprawić.

– Miał jakieś inne ślady na ciele?

– Niby jakie?

– Nie wiem, jakieś krwiaki, ukłucia.

– Już mówiłem, że nic. Nie od dzisiaj żyję na świecie, nie sądzi pan? A w dodatku udało mi się ściągnąć na autopsję współpracownika, doktora

Capuano, lekarza, który prowadził denata.

– Nieżle się pan zabezpieczył, co?

– Co pan powiedział?!

– Głupstwo, proszę wybaczyć. Chorował na coś jeszcze?

– Czy muszę wszystko powtarzać sto razy? Nic mu nie było, miał tylko trochę za wysokie ciśnienie. Brał środek moczopędny, jedną pastylkę w czwartek i jedną w niedzielę, wcześniej rano.

– A więc w niedzielę, kiedy umarł, wziął lekarstwo.

– I co z tego? Co to niby miałyby znaczyć? Że mu zanurzyli pastylkę w truciźnie? Myśli pan, że żyjemy w epoce Borgiów? A może czytał pan jakieś zeszyty kryminalne? Gdyby go otruli, przecież bym się zorientował.

– Jadł kolację?

– Nie jadł.

– A czy może mi pan powiedzieć, o której godzinie umarł?

– Można zwariować od tych pytań. Naoglądał się pan za dużo filmów amerykańskich. Policjant chce wiedzieć, o której dokonano zabójstwa, a lekarz odpowiada natychmiast, że morderca dokończył dzieła o osiemnastej trzydzieści dwie, z dokładnością do sekundy, trzydzieści sześć dni wstecz. Pan też widział, że nieboszczyk nie był jeszcze sztywny, prawda? Pan też czuł ciepło, które utrzymywało się w samochodzie, prawda?

– I co z tego?

– A to, że ten biedak umarł pomiędzy dziewiętnastą a dwudziestą drugą w przeddzień odnalezienia zwłok.

– Nic więcej?

– Nic więcej. Ach, byłbym zapomniiał: inżynier umarł, ale przedtem udało mu się jeszcze pobzykać. Znaleźliśmy pod nim ślady spermy.

– Pan kwestor? Mówi Montalbano. Chcę poinformować, że właśnie rozmawiałem z doktorem Pasquano. Zrobił sekcję.

– Niech pan oszczędzi sobie wysiłku, komisarzu. Wiem wszystko. Około czternastej dzwonił do mnie Jacomuzzi, który był przy tym, i wszystko mi opowiedział. Świetnie, nie?

– Proszę wybaczyć, ale nie rozumiem.

– To chyba wspaniałe, że ktoś w tej naszej pięknej okolicy postanowił umrzeć śmiercią naturalną, dając dobry przykład. Jeszcze dwa albo trzy takie zgony, a powrócimy do Włoch. Rozmawiał pan z Lo Blanco?

– Jeszcze nie.

– Więc niech pan to zrobi jak najszybciej. Proszę mu powiedzieć, że nie widzimy przeszkód. Mogą organizować pogrzeb, kiedy chcą, jeśli sędzia nie ma nic przeciw temu. A on tylko na to czeka Komisarzu, i jeszcze jedno. Rano zapomniałem panu powiedzieć. Moja żona wymyśliła jakiś niewiarygodny przepis na ośmiorniczki. W piątek wieczorem panu pasuje?

– Montalbano? Mówi Lo Blanco. Chcę pana o czymś powiadomić. Zaraz po południu telefonował do mnie doktor Jacomuzzi.

„Zmarnowana kariera! – pomyślał natychmiast Montalbano. – W dawnych czasach Jacomuzzi byłby znakomitym heroldem, jednym z tych, co to chodzili po mieście z werblem”.

– Poinformował mnie – ciągnął sędzia – że sekcja nie wykazała niczego nadzwyczajnego. Zezwoliłem więc na pochówek. Pan nie ma nic przeciwko temu?

– Nie.

– A zatem mogę uznać sprawę za zamkniętą?

– Czy może pan poczekać jeszcze dwa dni?

Usłyszał – dosłownie usłyszał – jak w głowie rozmówcy odezwały się dzwonki alarmowe.

– Dlaczego, komisarzu? Co się dzieje?

– Nic, panie sędzio, naprawdę nic.

– A więc dlaczego, na Boga Ojca? Wyznam panu, komisarzu... dlaczego bym miał utrzymywać to w tajemnicy?... że zarówno ja jak i prokurator, a także prefekt i kwestor, otrzymaliśmy intensywne ponaglenia, ażeby sprawę zamknąć w jak najkrótszym czasie. Wszystko, ma się rozumieć, zgodnie z prawem. Rodzina i przyjaciele z partii jak najszybciej pragną sami zapomnieć o sprawie i chcą, żeby inni też o niej zapomnieli. I moim zdaniem mają rację. Ich życzenia są w pełni uzasadnione.

– Rozumiem, panie sędzio. Potrzebuję najwyżej dwóch dni, nie więcej.

– Ale dlaczego? Proszę podać mi jakiś powód!

Wreszcie znalazł wytłumaczenie, wymówkę. Nie mógł oczywiście powiedzieć, że jego prośba nie ma żadnych podstaw, a właściwie jedynym jej powodem jest przecucie, że ktoś robi go w konia – ktoś, kto w tej chwili wie więcej niż on.

– Skoro pan nalega, to przyznam, że chodzi mi o opinię publiczną. Nie chcę, żeby plotkowano, że zamknęliśmy sprawę przedwcześnie tylko dlatego, że nie mieliśmy ochoty zbadać jej do głębi. Wie pan, niewiele trzeba, żeby ludziom przyszły do głowy takie pomysły.

– Jeśli tak, to się zgadzam. Daję panu te czterdzieści osiem godzin. Ale ani minuty więcej. Proszę zrozumieć sytuację.

– Gege? Jak się masz, kochany? Przepraszam, że przerywam ci poobiednią drzemkę o wpół do siódmej po południu.

– A niech cię chuj zastrzeli!

– Gege, czy godzi się tak rozmawiać z przedstawicielem prawa? Zwłaszcza tobie, który wobec prawa możesz tylko zesrać się w gacie? A propos chuja: czy to prawda, że zadajesz się z Murzynem, który ma czterdzieści?

– Czterdzieści czego?

– Centymetrów laski.

– Odpieprz się. Czego chcesz?

– Chcę z tobą porozmawiać.

– Kiedy?

– Wieczorem, późno. O której możesz?

– Na przykład o dwunastej.

– Gdzie?

– Tam gdzie zawsze, w Puntasecca.

– Całuję cię w usteczka, Gege.

– Komisarz Montalbano? Mówi prefekt Squatrito. Sędzia Lo Bianco właśnie mnie powiadomił, że wystąpił pan o jeszcze dwadzieścia cztery godziny, albo o czterdzieści osiem, nie pamiętam, do ostatecznego zamknięcia sprawy biednego inżyniera. Doktor Jacomuzzi, który uprzejmie informował mnie na bieżąco o rozwoju sytuacji, powiedział, że sekcja wykazała niepodważalnie, iż Luparello zmarł śmiercią naturalną. Daleki jestem od tego, żeby coś sugerować, żeby w ogóle się wtrącać, przecież nie ma najmniejszego powodu, ale zapytam: skąd taki wniosek?

– Moja prośba, panie prefekcie, jak już wyjaśniałem sędziemu Lo Blanco i jak podkreślam to teraz panu, podyktowana jest troską o przejrzystość działań i ma na celu stłumić w zarodku wszelkie nieprzychylne sugestie, jakoby policja nie wykazywała dostatecznej chęci, by wyjaśnić kulisy wydarzenia, i

chciała zamknąć sprawę bez wystarczających dowodów. To wszystko.

Prefekt oświadczył, że jest usatysfakcjonowany tą odpowiedzią, a zresztą Montalbano celowo użył dwóch czasowników („wyjaśnić” i „podkreślać”) oraz rzeczownika („przejrzystość”), które w słownictwie prefekta od zawsze miały swoje stałe miejsce.

– Tu Anna, przepraszam, jeśli ci przeszkadzam.

– Dlaczego mówisz tak dziwnie? Jesteś przeziębiona?

– Nie, dzwonię z pracy i nie chcę, żeby ktoś mnie podsłuchał.

– Co nowego?

– Jacomuzzi telefonował do mojego szefa i oznajmił, że nie chcesz zamknąć sprawy Luparella. Mój szef odparł, że jak zwykle zachowujesz się jak skurwysyn, co podzielałam i co zresztą miałam okazję powiedzieć ci kilka godzin temu.

– To właśnie chciałaś mi przekazać? Dziękuję za potwierdzenie.

– Komisarzu, muszę dorzucić ci jeszcze coś, o czym dowiedziałam się zaraz po naszym spotkaniu, kiedy tylko tutaj wróciłam.

– Mam roboty po uszy, Anno. Jutro.

– Ta sprawa nie może czekać. Powinna cię zainteresować.

– Tyle że ja jestem zajęty do pierwszej, pierwszej trzydzieści w nocy. Jeśli chcesz wpaść w tej chwili, zapraszam.

– Teraz nie dam rady. Przyjdę do ciebie do domu, o drugiej.

– W nocy?

Tak, i jeśli cię nie zastanę, zaczekam.

– Dzień dobry, kochanie. Mówi Livia. Przepraszam, że dzwonię do biura, ale...

– Możesz, dzwonić, kiedy tylko chcesz i dokąd chcesz. Co się stało?

– Nic ważnego. Właśnie czytałam w gazecie, że gdzieś tam u ciebie umarł jakiś polityk. To zaledwie notka, piszą, że komisarz Salvo Montalbano prowadzi drobiazgowo ustalenia co do przyczyn zgonu.

– No i?

– Masz problemy w związku z tą śmiercią?

– Niezbyt duże

– A więc nic się nie zmieniło? Przylatujesz w sobotę? Nie sprawisz mi przykrej niespodzianki?

– Jakiej?

– Ze zadzwonisz i powiesz zakłopotanym głosem, że w śledztwie nastąpił zwrot i że będę musiała poczekać, ale nie wiesz jak długo, a więc może lepiej odłożyć spotkanie o tydzień. Już się tak zdarzało.

– Bądź spokojna, tym razem nie będzie kłopotu.

– Komisarz Montalbano? Mówi Arcangelo Baldovino, jestem sekretarzem jego ekscelencji biskupa.

– Miło mi. Słucham, ojcze.

– Biskup dowiedział się... przyznajemy, że nie bez zdziwienia... iż uważa pan za stosowne przedłużyć dochodzenie dotyczące bolesnej i nieszczęśliwej śmierci inżyniera Luparello. Czy ta wiadomość pokrywa się z prawdą?

Montalbano potwierdził, że owszem, i trzeci już raz wyjaśnił powody takiego postępowania. Ojciec Baldovino wydawał się przekonany, lecz błagał komisarza o pośpiech „w celu uniknięcia drożnych domysłów i oszczędzenia dodatkowej udręki i tak już pogrążonej w smutku rodzinie”.

– Komisarz Montalbano? Mówi inżynier Luparello.

„O kurwa, myślałem, że umarłeś”. Montalbano miał już na końcu języka głupi dowcip, ale w porę się pohamował.

– Jestem synem – ciągnął rozmówca głosem pozbawionym najmniejszych naleciałości dialektalnych, należącym bez wątpienia do osoby wykształconej, kulturalnej. – Mam na imię Stefano. Pragnę przekazać prośbę, która być może wyda się panu niezwykła. Dzwonię do pana w imieniu mamy.

– Jeśli tylko mogę pomóc...

– Mama chciałaby się z panem spotkać.

– Dlaczego uważa pan tę prośbę za niezwykłą? Sam miałem niebawem poprosić pańską matkę o spotkanie.

– Rzecz w tym, komisarzu, że mama chciałaby porozmawiać z panem najpóźniej jutro.

– Mój Boże, inżynierze, w najbliższych dniach nie mam ani minuty, prosze mi wierzyć. Myślę, że państwo też.

– Dziesięć minut wystarczy, proszę się nie obawiać. Jutro po południu, punktualnie o siedemnastej, dobrze?

– Montalbano, wiem, że kazałem ci czekać, ale byłem...

– ...w kiblu, w twoim królestwie.

– Daj spokój, o co chodzi?

– Muszę ci przekazać bardzo poważną wiadomość. Dzwonił do mnie właśnie papież, z Watykanu. Strasznie był na ciebie wkurzony.

– Co ty mówisz?!

– No tak, jest wściekły, ponieważ jedyny na świecie nie otrzymał twojego raportu o wynikach sekcji Luparella. Poczul się zaniedbany, dał mi do zrozumienia, że zamierza cię ekskomunikować. Masz przesrane.

– Zupełnie ci już odbiło, Montalbano.

– Mogę cię o coś zapytać?

– Oczywiście.

– Lizesz ludziom dupę z ambicji czy taką masz już naturę?

Zdumiała go szczerść odpowiedzi.

– Chyba mam taką naturę.

– Posłuchaj, skończyliście już badać ubranie inżyniera? Znaleźliście coś?

– Znaleźliśmy to, co można było w pewnym sensie przewidzieć. Ślady spermy na majtkach i na spodniach.

– A w samochodzie?

– Jeszcze go badamy.

– Dziękuję. Możesz wrócić do sracza.

– Pan komisarz? Dzwonię z kabiny przy szosie, niedaleko starej fabryki. Zrobiłem, o co mnie pan prosił.

– Mów, Fazio.

– Miał pan całkowitą rację. BMW Luparella przyjechało z Montelusy, a nie z Vigaty.

– Jesteś tego pewny?

– Od strony Vigaty na plaży leżą betonowe płyty, nie można po nich przejechać. musiałyby przefrunąć.

– Odtworzyłeś drogę, którą mógł pokonać?

– Tak, ale to czyste szaleństwo.

– Mów jaśniej. Dlaczego?

– Z Montelusy do Vigaty można się dostać niepostrzeżenie kilkudziesięcioma drogami i drózkami, ale żeby dotrzeć na „pastwisko”, samochód inżyniera musiał przejechać łożyskiem Canneto.

– Canneto? Przecież jest nieprzejezdne!

– Ale mnie się to udało, a więc mógł to zrobić również ktoś inny. Łóżysko całkiem wyschło. Tyle że urwałem zawieszania. A ponieważ nie chciał pan, żebym jechał samochodem służbowym, będę musiał...

– Zapłacę ci za naprawę. Coś jeszcze?

– Tak. Wyjeżdżając z łożyska rzeki na plażę, koła BMW pozostawiły ślad. Jeżeli zawiadomimy doktora Jacomuzzi natychmiast, to będziemy mogli zrobić odlewy.

– Pierdolić Jacomuzziego.

– Jak pan rozkaże. Mam tu coś jeszcze do roboty?

– Nie, Fazio. Wracaj. Dziękuję.

5

O tej porze plaża w Puntasecca, pasmo zbitego piachu u podnóża białej marglowej skarpy, była zupełnie pusta. Kiedy komisarz przyjechał, Gege czekał już na niego, oparty o samochód, i palił papierosa.

– Wsiądź, Salvo – powiedział do Montalbana. – Odetchnijmy troszkę świeżym powietrzem.

Przez chwilę palili w milczeniu. Następnie Gege zgasił papierosa i zaczął mówić.

– Salvo, ja wiem, o co ty chcesz zapytać. I dobrze się przygotowałem, możesz mnie nawet pytać na wyrywki.

Razem uśmiechnęli się na to wspomnienie. Poznali się w zerówce, w prywatnym przedszkolu, które przygotowywało do szkoły podstawowej. Ich nauczycielką była panna Marianna, siostra Gege, starsza od niego o piętnaście lat. Salvo i Gege nie byli pojętnymi uczniami, wszystko wkuwali na pamięć i recytowali potem jak papugi. W niektóre dni Mariannie brakowało jednak cierpliwości do takich litanii i wówczas zaczynała odpytywać „mi wyrywki”, niezgodnie z przewidywanym schematem. I tu zaczynały się problemy, ponieważ ten sposób sprawdzania wiadomości wymagał zrozumienia tematu, wychwycenia związków logicznych.

– Co słyhać u twojej siostry? – zapytał komisarz.

– Zawiozłem ją do Barcelony, bo tam jest dobry szpital okulistyczny. Podobno robią w nim cuda. Powiedzieli, że częściowo uda się przywrócić jej wzrok, przynajmniej w prawym oku.

– Kiedy będziesz się z nią widział, pozdrów ją ode mnie.

– Pozdrowię na pewno. Mówiłem ci, że jestem przygotowany. Pytaj.

– Ile osób utrzymujesz na „pastwisku”?

– Dwadzieścia osiem, dziwki i różne chłopaki. I jeszcze Filippo di Cosmo i Manuele Lo Piparo, którzy pilnują, żeby nie było tam burdelu. Rozumiesz, wystarczy byle rozróżba, i mam przesrane.

– A więc trzymasz rękę na pulsie?

– Pewnie. Przecież dobrze wiesz, jak może się dla mnie skończyć głupia kłótnia, bójka na noże, przedawkowanie.

– Wciąż ograniczasz się do lekkich narkotyków?

– Wyłącznie. Trawa, co najwyżej kokaina. Spytaj śmieciarzy, czy rano znajdą choć jedną strzykawkę, spytaj.

– Wierzę ci.

– A poza tym Giambalvo, szef obyczajówki, ma mnie na oku. Mówi, że mogę liczyć na tolerancję, dopóki nie będzie ze mną kłopotów, dopóki nie zawrócę mu dupy czymś poważnym.

– Rozumiem Giambalva: zmartwiłby się, gdyby musiał zamknąć ci „pastwisko”. Pobory by mu się zmniejszyły o zawartość twojej koperty. Jak płacisz? Co miesiąc stałą pensję czy jakąś prowizję? Ile mu dajesz?

Gege uśmiechnął się.

– Poproś o przeniesienie do obyczajówki, to się dowiesz. Przynajmniej pomógłbym takiemu biedakowi jak ty, który żyje z samej pensji i nie ma czego na tyłek włożyć.

– Dziękuję za komplement. A teraz powiedz, co wiesz o tej śmierci.

– A więc około dziesiątej, dziesiątej trzydziści Milly, która miała właśnie klienta, zauważyła światła samochodu.

Kiedy zobaczyła, że ktoś jedzie od strony Montelusy wzdłuż morza i

skręca w kierunku „pastwiska”, złąkla się.

– Kim jest ta Milly?

– Nazywa się Giuseppina La Volpe, urodziła się w Mistretcie i ma trzydzieści lat. To bystra dziewczyna.

Wyciągnął z kieszeni złożoną kartkę i podał Montalbanowi.

– Wypisałem tu prawdziwe imiona i nazwiska. A również adresy, na wypadek gdybyś chciał z nimi rozmawiać.

– Dlaczego mówisz, że Milly się przestraszyła?

– Ponieważ z tej strony nie można dojechać samochodem, chyba że przez Canneto, ale wtedy można rozwalić auto i skrócić sobie kark. Najpierw pomyślała, że to Giambalvo wpadł na genialny pomysł, żeby bez uprzedzenia zorganizować obławę. Potem zorientowała się, że to nie może być obyczajówka, przecież na obławę nie jedzie się jednym samochodem. I wtedy jeszcze bardziej się przestraszyła, ponieważ przyszło jej na myśl, że może to ci z Monterosso, którzy wypowiedzieli mi wojnę, chcąc przejąć „pastwisko”. Mogłoby dojść do strzelaniny. Żeby się przygotować do ewentualnej ucieczki, nie odrywała oczu od samochodu, aż klient w końcu zaprotestował. Zauważyła jednak, że samochód skręcił, skierował się wprost na najbliższe zarośla, prawie w nie wjechał i zatrzymał się.

– Nie mówisz mi nic nowego, Gege.

– Mężczyzna, który pierdolił się z Milly, wysadził ją i na wstecznym ruszył alejką w stronę szosy. Milly czekała na następnego klienta, spacerując tam i z powrotem. Na to miejsce, gdzie przedtem była ona, przyjechała Carmen z kochasiem, który odwiedza ją w każdą sobotę i niedzielę, zawsze o tej samej porze, i spędza z nią całe godziny. Prawdziwe imię Carmen znajdziesz na kartce, którą ci dałem.

– A adres?

– Adres też. Zanim klient wyłączył światła, Carmen zobaczyła, że tamci z BMW już zaczęli się jebać.

– Powiedziała ci, że coś dokładnie widziała?

– Tak, tylko przez kilka sekund, ale jednak. Może dlatego, że była pod wrażeniem, bo takich samochodów na „pastwisku” się nie widuje, A więc dziewczyna, która zajmowała miejsce kierowcy (no właśnie zapomniałem, że to ona prowadziła, Milly mi powiedziała), odwróciła się, dosiadła faceta, który czekał obok, majstrowała przez chwilę opuszczonymi rękami, a potem zaczęła się poruszać to w górę, to w dół. A może już zapomniałeś, jak się pierdoli?

– Chyba nie. Ale możemy się przekonać. Kiedy już powiesz wszystko, co masz do powiedzenia, spuścisz spodnie, oprzesz swoje piękne dłonie o bagażnik i wystawisz tyłek. I jeżeli zapomniałem, jak to się robi, natychmiast mi przypomnisz. Gadaj dalej, nie mam czasu na bzdury.

– Kiedy skończyli, kobieta wysiadła, poprawiła sobie spódniczkę i zatrzasnęła drzwi. Mężczyzna nie zapaścił silnika i nie ruszył, lecz został na swoim miejscu, z głową odchyłoną do tyłu. Kobieta przeszła tuż obok Carmen i właśnie w tej chwili oświetliły ją reflektory jakiegoś samochodu. To była ładna, elegancka blondynka. W lewej ręce trzymała torebkę w kształcie worka. Szła w kierunku fabryki.

– Coś jeszcze?

– Tak. Manuele, który obchodził teren, widział, jak opuszcza „pastwisko” i idzie w stronę szosy. Nie zauważył, by cokolwiek niosła. Sądząc po ubraniu, nie wyglądała na kogoś stąd, więc poszedł za nią, ale wtedy zabrał ją jakiś samochód.

– Chwileczkę, Gege. Manuele widział, jak stała z wyciągniętą ręką i czekała, aż ktoś ją zabierze?

– Salvo, jak ty to robisz? Jesteś urodzonym detektywem.

– Niby dlaczego?

– Dlatego, że właśnie tu Manuele ma wątpliwości. To znaczy: nie widział, żeby kobieta dawała znak, a jednak jakieś auto się zatrzymało. Odniósł wręcz wrażenie, że samochód, który nadjechał pełnym gazem, miał już otwarte drzwi, kiedy hamował, żeby ją zabrać. Manuele nawet nie przyszło do głowy zapisać numer rejestracyjny, nie było takiej potrzeby.

– No tak. A możesz mi coś powiedzieć o mężczyźnie z BMW, o Luparellu?

– Niewiele. Był w okularach i w marynarce, której nie zdjął nawet na chwilę, choć się pieprzył i było gorąco. Ale w jednym punkcie to, co mówi Milly, nie zgadza się z opowieścią Carmen. Milly twierdzi, że gdy nadjechał samochód, wydawało jej się, że mężczyzna ma na szyi krawat albo czarną apaszkę, a Carmen mówi, że kiedy go widziała, miał koszulę rozpiętą, i tyle. Ale to chyba mało ważne, inżynier mógł zdjąć krawat, kiedy pierdolił. Może mu przeszkadzał.

– Krawat zdjął, a marynarki nie? To nie jest mało ważne, Gege, bo w samochodzie nie znaleziono żadnego krawata ani żadnej apaszki.

– To jeszcze nie dowód, mogła wypaść na piach, kiedy kobieta wysiadała z samochodu.

– Ludzie Jacomuzziego przeczesali teren i niczego nie znaleźli.

Milczeli, pogrążeni w myślach.

– Być może jest jakieś wytłumaczenie tego, co widziała Milly – odezwał się nagle Gege. – To nie był ani krawat, ani apaszka. Mężczyzna miał ciągle zapięty pas bezpieczeństwa... przecież jechali łożyskiem Canneto, pełnym kamieni... i rozpiął go, kiedy kobieta usiadła mu na udach. Wtedy pas by przeszkadzał, i to jeszcze jak!

– Może.

– Salvo, powiedziałem wszystko, czego udało mi się dowiedzieć o tej sprawie. I powiedziałem to we własnym interesie. Bo nie jest mi na rękę, że taka ważna figura jak Luparello przyjechała umrzeć akurat na „pastwisko”. Teraz oczy wszystkich skierowane są właśnie tam i im prędzej zakończysz śledztwo, tym lepiej. Nie miną dwa dni, a ludzie o wszystkim zapomną i spokojnie wrócimy do pracy. Mogę już iść? Na „pastwisku” jest teraz godzina szczytu.

– Czekaj. A ty co o tym myślisz?

– Ja? To ty jesteś policjantem. W każdym razie żeby zrobić ci przyjemność, powiem, że sprawa wydaje mi się podejrzana, śmierzcząca. Załóżmy, że ta kobieta to dziwka z innego miasta, nietutejsza. To co, może Luparello nie miał gdzie jej zabrać?

– Gege, czy ty wiesz, co to perwersja?

– Mnie o to pytasz? Mogę ci zaserwować takie rzeczy, że od razu byś mi się wyrzygał na buty. Wiem, co chcesz powiedzieć: że przyjechali na „pastwisko”, bo to miejsce bardziej ich podniecało. Czasami bywa i tak. Wyobrażasz sobie, że któregoś nocy przybył tu pewien sędzia z eskortą?’

– Naprawdę? A który?

– Sędzia Cosentino, tobie mogę to powiedzieć. Na dzień przedtem, zanim go wypieprzyli z roboty, przyjechał na „pastwisko” z eskortą jeszcze jednego samochodu, wziął transwestytę i wyruchał go.

– A eskorta?

– Poszła sobie na długi spacer brzegiem morza. Ale wracając do rzeczy... Cosentino wiedział, że go wypierdola, więc mógł sobie poużywać. Ale inżynier jaki miał w tym interes? To nie w jego stylu. Lubił kobiety, to wszyscy wiedzą, ale zachowywał ostrożność, nie afiszował się z tym. I która

kobieta byłaby zdolna tak zawrócić mu w głowie, żeby dla jednego stosunku ryzykował utratę wszystkiego, czym był i co sobą reprezentował? Coś mi tu nie gra, Salvo.

– Mów dalej.

– A jeśli weźmiemy pod uwagę, że ta kobieta nie była dziwką, tym czarniej to widzę. W żadnym wypadku nie pokazałoby się na „pastwisku”. I do tego ona prowadziła, to pewne! Pomijając już fakt, że nikt nie powierza takiego drogiego samochodu kurwie, to z tej baby musi być jakiś potwór. Najpierw nie boi się jechać korytem Canneto, a potem, kiedy inżynier umiera jej między nogami, spokojnie wstaje, wysiada, poprawia ubranie, zatrzaskuje drzwi i w drogę. Czy to normalne?

– Chyba nienormalne.

W tej chwili Gege wybuchnął śmiechem i wyjął zapalniczkę.

– Co cię napadło? Chodź tu, facet, przysuń się.

Gege zaświecił komisarzowi w oczy, potem zgasił płomień.

– Rozumiem. Myśli, które naszły cię, człowieka prawa, są dokładnie takie same jak te, które naszły mnie, przestępcę. A ty chciałeś tylko wiedzieć, czy są troszkę podobne, co, Salvo?

– Zgadłeś.

– Co do ciebie raczej się nie mylę. Idę, trzymaj się.

– Dziękuję – powiedział Montalbano.

Komisarz oddalił się pierwszy, ale po chwili przyjacieli się z nim zrównał, dając znak żeby zwolnił.

– Czego chcesz?

– Zupełnie straciłem głowę, chciałem ci to powiedzieć na samym początku. Czy wiesz, z jakim wdziękiem szedłeś dziś po „pastwisku” rączka w rączkę z inspektorem Ferrarą?

I przyspieszył, oddalając się od komisarza na bezpieczną odległość, po czym podniósł rękę w geście pożegnania.

Po powrocie do domu zapisał kilka szczegółów, które przekazał mu Gege, ale szybko ogarnęła go senność. Spojrzał na zegarek, zobaczył, że niedawno minęła pierwsza, i położył się spać. Zbudził go natarczywy dzwonek do drzwi. Skierował oczy na budzik: druga piętnaście. Wstał z ociąganiem. Kiedy coś go wybiło z pierwszego snu, zawsze z trudem przychodził do siebie.

– Co za kutas dzwoni o tej porze?

Tak jak stał, w samych majtkach, podszedł do drzwi.

– Cześć – powiedziała Anna.

Zupełnie zapomniał – przecież mówiła, że przyjdzie właśnie o tej porze.

Anna przyglądała mu się uważnie.

– Widzę, że jesteś w kompletnym umundurowaniu – stwierdziła i weszła.

– Mów, co masz powiedzieć, a potem wracaj do siebie, padam ze zmęczenia.

Montalbano był naprawdę poirytowany nagłą wizytą. Poszedł do sypialni, wciągnął spodnie i koszulę, po czym wrócił do jadalni. Anny już tam nie było; stała w kuchni, przed otwartą lodówką, i jadła kanapkę z szynką.

– Jestem potwornie głodna.

– Mów jedząc.

Montalbano postawił maszynkę na gazie.

– Parzysz sobie kawę? Teraz? Przecież potem nie zaśniesz.

– Anno, zlituj się. – Nie umiał już być uprzejmy.

– No dobrze. Dziś po południu, po naszym spotkaniu, dowiedziałam się od kolegi, który z kolei dowiedział się od kapusia, że wczoraj rano, we

wtorek, pewien facet zaczął składać wizyty wszystkim jubilerom, paserom i właścicielom lombardów, legalnych i nielegalnych, prosząc, aby go powiadomili, jeżeli zjawi się ktoś, kto będzie chciał sprzedać albo zastawić pewien klejnot. Chodzi o naszyjnik: łańcuch z litego złota, wisior w kształcie serca wysadzany brylantami. Podobny do tych, które kupisz w supermarkecie za dziesięć tysięcy lirów, tyle że prawdziwy.

– A jak mają go zawiadomić, telefonicznie?

– Nie żartuj. Z każdym ustalił inny sygnał. Na przykład mają wywiesić w oknie zieloną szmatę albo przyczepić do bramy skrawek gazety, i tym podobne. Spryciarz. Będzie widział, a sam nie będzie widziany.

– Zgoda, ale co to...

– Pozwól mi skończyć. Facet tak mówił i tak się poruszał, że zagadnięci przez niego nie mieli wątpliwości, że lepiej robić, co każe. Potem dowiedzieliśmy się, że i inne osoby pielgrzymowały po wszystkich miasteczkach prowincji. Ktoś był również w Vigacie. A więc ten, kto zgubił naszyjnik, chce go odzyskać.

– Nie widzę w tym niczego złego. Ale dlaczego myślisz, że powinno mnie to zainteresować?

– Ponieważ jednemu paserowi z Montelusy ten mężczyzna powiedział, że naszyjnik zgubiono być może na „pastwisku” w nocy z niedzieli na poniedziałek. Czy teraz już zaczęło cię to obchodzić?

– Do pewnego stopnia.

– Wiem, to może być zbieg okoliczności, który nie ma nic wspólnego ze śmiercią Luparella.

– W każdym razie dziękuję ci. Teraz wracaj do domu, bo zrobiło się późno.

Kawa była gotowa, Montalbano napełnił sobie filiżankę. Anna oczywiście

skorzystała z okazji.

– A ja to co?

Komisarz, wykazując świętą cierpliwość, nalał kawy do drugiej filiżanki i podał ją dziewczynie. Anna mu się podobała, ale dlaczego tak trudno było jej zrozumieć, że jest zainteresowany inną kobietą.

– Nie – powiedziała niespodziewanie i przestała pić.

– Co „nie”?

– Nie chcę wracać do domu. Czy naprawdę masz coś przeciwko temu, żebym dziś w nocy tu z tobą została?

– Owszem, mam.

– Ale dlaczego?!

– Za bardzo przyjaźnię się z twoim ojcem. Miałbym wrażenie, że wyrządzam mu krzywdę.

– Jakie to głupie!

– Może i głupie, ale tak właśnie jest. A poza tym zapominasz, że jestem zakochany, i to na serio, w innej kobiecie.

– Której tu nie ma.

– Nie ma, ale jak gdyby była. Przestań się wygłupiać i nie mów bzdur. Masz pecha, Anno, trafiłaś na uczciwego mężczyznę. Przykro mi. Wybacz.

Nie mógł zasnąć. Anna słusznie ostrzegła, że kawa wybije go ze snu. Lecz niepokoiło go coś innego: jeżeli ten naszyjnik zgubiono na „pastwisku”, Gege na pewno o tym wiedział. A jednak nie przekazał mu tej informacji, i przecież nie dlatego, że uznał ją za nieważną.

6

Około wpół do dziewiątej rano Montalbano obmyślił plan, którym choć trochę chciał się odpłacić Gege za przemilczenie sprawy zgubionego naszyjnika i za żarty z jego spaceru po „pastwisku”. Nocą to wstawał, to kładł się z powrotem do łóżka, dlatego nie czuł się wypoczęty. Długo stał pod prysznicem i wypił trzy filiżanki kawy, zanim wsiadł do samochodu. Kiedy dotarł do Rabato, najstarszej dzielnicy Montelusy – przysypanej przed trzydziestu laty lawiną kamieni, a obecnie zamieszkaney głównie przez nielegalnych emigrantów z Tunezji i Maroka, którzy znaleźli schronienie w szczątkach uszkodzonych i walących się domów, wyremontowanych zaledwie z grubsza – skierował się wąskimi, krętymi zaułkami do placu Santa Croce, gdzie wśród ruin stał nienaruszony kościół. Tam komisarz wyciągnął z kieszeni kartkę, którą mu wręczył Gege: Carmen, prawdziwe nazwisko Fatma ben Gallud, Tunezyjka, mieszkała pod czterdziestym ósmym. Była to nędzna klitka na parterze, pokój, do którego prowadziły drewniane drzwi z wyciętym okienkiem wentylacyjnym.

Nikt nic odpowiedział na stukanie. Zapukał jeszcze głośniej i tym razem usłyszał zaspany głos:

– Kto?

– Policja! – gruchnął Montalbano.

Postanowił zrobić wrażenie, zaskakując ją otępiałą, wyrwaną ze snu. Zakończywszy swoją pracę na „pastwisku”, Fatma spała zapewne o wiele krócej niż on.

Otworzyły się drzwi, kobieta okrywała się wielkim ręcznikiem plażowym,

przytrzymując go dłonią na piersi.

– Czego chcesz?

– Pogadać.

Odsunęła się. W pokoiku stało łożo małżeńskie, do połowy rozbebeszone, niewielki stół z dwoma krzesłami i kuchenka gazowa. Plastikowa zasłona oddzielała umywalkę i klozet od reszty pokoju. Wszystko w tej klitce było doskonale uporządkowane. Tylko zapach, zmieszany z wonią tanich perfum, prawie odbierał dech.

– Pokaż mi pozwolenie na pobyt.

W odruchu przerażenia upuściła ręcznik, zakrywając oczy dłońmi. Długie nogi, wąska kibić, płaski brzuch, jędrne i wysokie piersi – kształty jak z reklamy. Po chwili Montalbano zdał sobie jednak sprawę, że nieruchome wyczekiwanie Fatmy nie jest wyrazem strachu, lecz stanowi próbę osiągnięcia porozumienia sposobem najbardziej oczywistym i najczęściej stosowanym przez kobietę wobec mężczyzny.

– Ubierz się.

Między przeciwległymi rogami pokoiku rozpięty był sznur. Fatma podeszła do niego, pokazując komisarzowi mocne ramiona, harmonijne plecy, małe krągłe pośladki.

„Mając takie ciało – pomyślał Montalbano – musiała już sporo przeżyć”.

Wyobraził sobie cierpliwą kolejkę chętnych, ustawioną za zamkniętymi drzwiami, za którymi Fatma zarabiała na „tolerancję stróżów bezpieczeństwa publicznego”, jak niekiedy zdarzało mu się przeczytać – tolerancję na miarę domu publicznego. Włożyła na nagie ciało sukienkę z lekkiej bawełny i odwróciła do Montalbana.

– I co z tymi dokumentami? – nie ustępował.

Pokręciła głową i zaczęła cicho płakać.

– Nie bój się – powiedział komisarz.

– Ja nie boję. Ja bardzo pechowa.

– A to dlaczego?

– Bo gdyby ty zaczekać kilka dni, ja już tu nie była.

– A gdzie zamierzałaś się wybrać?

– Jest pan z Fela, mnie przywiązany, ja mu się podobać. Niedziela powiedział, że ze mną ożeni. Ja jemu wierze.

– Ten sam, który przychodzi do ciebie w soboty i niedziele?

Fatma otworzyła szeroko oczy.

– Skąd ty wiedzieć? – Znowu zaczęła płakać. – Ale teraz wszystko skończone.

– Powiedz mi, Gege pozwoli ci odejść z tym mężczyzną z Feli?

– Mężczyzna rozmawiał z panem Gege, mężczyzna zapłaci.

– Słuchaj, Fatmo, wyobraźmy sobie, że mnie tu nie było. Chcę cię tylko o coś zapytać i jeśli odpowiesz mi szczerze, odwrócę się i pójdę stąd, a ty będziesz mogła spać spokojnie.

– Co chcesz wiedzieć?

– Pytali cię, czy znalazłaś coś na „pastwisku”?

Oczy kobiety rozbliły.

– Och, tak! Przyjść pan Filippo, ten człowiek pana Gege, powiedział do nas wszystkich, że jeśli znajdziemy złoty naszyjnik z sercem z brylantów, oddać od razu jemu. Jeśli nie znaleźć, szukać.

– I nie wiesz, czy go znaleźli?

– Nie. Nawet dziś w nocy wszystkie szukać.

– Dziękuję – powiedział Montalbano, kierując się ku drzwiom. Na progu zatrzymał się i spojrzał na Fatmę. – Powodzenia.

Gege nie dopiął celu: tego, co postanowił przemilczeć, Montalbano i tak zdołał się dowiedzieć. A z tego, co właśnie powiedziała mu Fatma, wyciągnął logiczny wniosek.

Do komisariatu dotarł skoro świt, budząc niepokój dyżurnego.

– Coś się stało, panie komisarzu?

– Nic – uspokoił go. – Po prostu wcześniej się obudziłem.

Wziął się do lektury obu sycylijskich gazet, które kupił w drodze do komisariatu. Jedna z nich drobiazgowo zapowiadała uroczysty pogrzeb, który miał się odbyć nazajutrz. Msza będzie odprawiana w katedrze, i to przez samego biskupa. Podjęto nadzwyczajne środki ostrożności w związku z przewidywanym przybyciem wybitnych osobistości, które chciały złożyć kondolencje i wziąć udział w ostatnim pożegnaniu. Można było liczyć na dwóch ministrów, czterech podsekretarzy, osiemnastu posłów i senatorów oraz gromadę deputowanych do parlamentu regionalnego. Zaangażowani mieli zostać policjanci, karabinierzy, policja skarbowa, drogówka, nie licząc ochrony osobistej i pewnych uczestników pogrzebu, o których gazeta nie wspominała, a którzy co prawda mieli do czynienia z porządkiem publicznym, lecz stali po przeciwnej stronie barykady niż jego przedstawiciele. Druga gazeta opowiadała mniej więcej to samo, dodając, że trumna ze zwłokami została wystawiona w atrium pałacu rodziny Luparello i że nie kończąca się kolejka czekała, żeby podziękować za wszystko, czego inżynier, kierując się pracowitością i bezstronnością, dokonał za życia.

Tymczasem zameldował się brygadier Fazio, z którym Montalbano odbył długą rozmowę o kilku wszczętych już dochodzeniach. Z Montelusy nie było żadnych telefonów. Kiedy nadeszło południe, komisarz otworzył teczkę, która zawierała zeznania śmieciarzy. Przepisał ich adresy, po czym pożegnał się z brygadierem i agentami, zapowiadając, że zjawi się po południu.

Jeżeli ludzie Gege rozmawiali o naszymytniku z prostytutkami, to na pewno wypytali o niego również śmieciarzy.

Ulica Gravet 28, trzypiętrowy budynek z domofonem. Odpowiedział głos dojrzałej kobiety.

- Jestem znajomym Pina.
- Syna nie ma w domu.
- Chyba wrócił już z pracy?
- Wrócił, ale gdzieś jeszcze poszedł.
- Czy może mi pani otworzyć? Mam dla niego kopertę. Które to piętro?
- Ostatnie.

Mieszkanko było ubogie, lecz schludne: dwa pokoje, kuchnia, w której można posiedzieć, ubikacja. Komisarz ogarnął całość wzrokiem, stając w drzwiach. Pięćdziesięcioletnia skromnie ubrana kobieta wskazała mu drogę.

- Tutaj jest pokój Pina.

Pokoik był pełen książek i czasopism, pod oknem stał stoliczek zavalony kartkami.

- Dokąd poszedł Pino?

– Pojechał do Raccadali. Ma próbę sztuki Martoglia, tej o ścięciu świętego Jana. Mój syn kocha teatr.

Montalbano podszedł do stolika. Zauważył, że Pino pisze komedię – na kartce widać było serię kwestii. Ale na widok imienia jednej z postaci komisarzowi krew uderzyła do głowy.

- Czy mogłaby mi pani podać szklankę wody?

Kiedy tylko kobieta wyszła, złożył kartkę i wsunął ją do kieszeni.

- Koperta – przypomniała gospodyni, wracając ze szklanką w ręce.

Montalbano wykonał znakomitą pantomimę, którą Pino, gdyby tu był, na pewno umiałby docenić: włożył dłonie do kieszeni spodni, następnie – bardziej nerwowo – do kieszeni marynarki, udał zaskoczenie, wreszcie uderzył się w czoło.

– Ale ze mnie idiota! Zostawiłem w biurze! Kwestia pięciu minut, proszę pani. Już po nią idę i natychmiast wracam.

Wskoczył do samochodu i wyjął skradzioną kartkę. To, co z niej wyczytał, zastanowiło go. Uruchomił silnik i odjechał. Ulica Lincolnna 102. W swoim zeznaniu Saro przynajmniej podał numer mieszkania. Komisarz wyliczył, że śmieciarz-geometra powinien mieszkać na szóstym piętrze. Brama była otwarta, lecz winda nie działała. Sześć pięter musiał pokonać na własnych nogach, lecz przynajmniej miał tę satysfakcję, że dobrze wyliczył: na wypolerowanej tabliczce widniał napis: MONTAPERTO BALDASSARE. Otworzyła mu drobna młoda kobieta o niespokojnym spojrzeniu, z dzieckiem na ręku.

– Czy jest Saro?

– Poszedł do apteki po lekarstwa dla dziecka, ale zaraz wróci.

– Jest chore?

Kobieta bez słowa wyciągnęła rękę, żeby mógł sam zobaczyć. Chłopiec był chory, i to jeszcze jak: skórę miał żółtą, policzki wklęsłe, a wielkie, przedwcześnie dojrzałe oczy wpatrywały się w komisarza ze złością. Montalbanowi zrobiło się przykro, cierpienie dzieci sprawiało mu ból.

– Co z nim?

– Lekarze nie potrafią znaleźć odpowiedzi. A kim pan jest?

– Nazywam się Virduzzo, jestem księgowym w „Splendorze”.

Kobieta poczuła ulgę. W mieszkaniu panował nieład; od razu było widać,

że żona Sara za bardzo musiała zajmować się dzieckiem, żeby dbać o porządek.

– Czego pan chce od Sara?

– Wydaje mi się, że naliczając mu pensję, popełniłem błąd, i to na jego niekorzyść. Chciałbym zobaczyć kopertę, którą dostał.

– Jeśli o to chodzi – odparła kobieta – Saro wcale nie jest tu potrzebny. Kopertę sama mogę panu pokazać. Proszę wejść.

Montalbano poszedł za nią, miał w zanadrzu jeszcze jeden pretekst, żeby zatrzymać się do powrotu jej męża. W sypialni unosił się nieprzyjemny zapach, przypominający skwaśniałe mleko. Kobieta próbowała otworzyć najwyższą szufladę komody, ale bez skutku: mogła posługiwać się tylko jedną ręką, na drugiej trzymała małego.

– Proszę pozwolić, pomogę pani – zaproponował Montalbano.

Kiedy się odsunęła, szarpnął szufladę wypełnioną kartkami, rachunkami, receptami i paragonami.

– Gdzie są odcinki płac?

W tej chwili w progu sypialni stanął Saro. Nie słyszeli, jak wchodzi, drzwi mieszkania były otwarte. Na widok Montalbana natychmiast nabrał przekonania, że komisarz poszukuje w jego mieszkaniu naszyjnika. Zbladł, zaczął drżeć, oparł się o framugę.

– Czego pan chce? – wymamrotał.

Widząc przerażenie męża, kobieta odezwała się, zanim Montalbano zdołał cokolwiek powiedzieć.

– Ależ to pan Virduzzo, księgowy! – prawie krzyknęła.

– Virduzzo? To komisarz Montalbano!

Kobieta zachwiał się, jakby miała upaść. W obawie, by nie skrzywdziła przy tym dziecka, komisarz pospieszył, żeby ją podtrzymać, a następnie

pomógł jej usiąść na łóżku. Kiedy zaczął mówić, odniósł wrażenie, że słowa same wychodzą mu z ust, jakby nie rodziły się w jego mózgu. W przeszłości już kilkakrotnie doświadczył tego zjawiska; pewien obdarzony fantazją dziennikarz nazwał je „przebłyskiem intuicji, którym od czasu do czasu rozjaśnia się nasz policjant”.

– Gdzie ukryliście naszyjnik?

Saro zrobił krok do przodu. Cały sztywny, z wyjątkiem nóg, które były jak z galarety, podszedł do szafki nocnej, otworzył szufladę, wyciągnął z niej owinięty w papier gazetowy przedmiot i rzucił go na łóżko. Montalbano podniósł zawiniątko, poszedł do kuchni, usiadł i rozwinął papier. Ujrzał klejnot, zarazem prosty i wyrafinowany: prosty w projekcie wzoru, wyrafinowany w fakturze i szlifie osadzonych w nim diamentów. Saro podążył za komisarzem do kuchni.

– Kiedy to znalazłeś?

– W poniedziałek rano, na „pastwisku”.

– Mówiłeś o tym komuś?

– Nie, proszę pana, tylko mojej żonie.

– A czy ktoś cię wypytywał, czy znalazłeś właśnie taki naszyjnik?

– Tak, proszę pana. Filippo di Cosmo, człowiek Gege Gullotty.

– I co mu powiedziałaś?

– Że nie znalazłem.

– Uwierzył ci?

– Tak, proszę pana, chyba tak. I dodał, że gdybym przypadkiem znalazł, to muszę go o tym zawiadomić, a nie udawać cwaniaka, bo sprawa jest bardzo delikatna.

– Czy coś ci obiecywał?

– Tak, proszę pana. Że mnie zatłucze na śmierć, jeśli się okaże, że znalazłem naszyjnik i postanowiłem go zatrzymać, a pięćdziesiąt tysięcy, jeśli znajdę i oddam.

– Co chciałeś z nim zrobić?

– Chciałem zastawić. Tak postanowiliśmy, ja i Tana.

– Nie zamierzaliście sprzedać?

– Nie, proszę pana, nie był nasz. Chcieliśmy, żeby było tak, jak gdyby go nam pożyczono, nie chcieliśmy oszukać.

– Jesteśmy uczciwymi ludźmi – wtrąciła żona, która właśnie weszła ocierając oczy.

– Co planowaliście zrobić z pieniędzmi?

– Chcieliśmy je przeznaczyć na leczenie syna. Moglibyśmy go zawieźć daleko stąd, do Rzymu, do Mediolanu, gdziekolwiek, ważne, żeby tam byli mądrzy lekarze.

Zapadło dłuższe milczenie, po czym Montalbano poprosił kobietę o dwie kartki. Wyrwała je z zeszytu, w którym zapisywali wydatki. Jedną z kartek komisarz wręczył Sarowi.

– Zrób szkic, zaznacz mi dokładne miejsce, gdzie znalazłeś naszyjnik. Przecież jesteś geometrą.

Kiedy Saro rysował, na drugiej kartce Montalbano napisał:

Ja, niżej podpisany Montalbano Salvo, komisarz w Biurze Bezpieczeństwa Publicznego w Vigacie (prowincja Montelusa), oświadczam, że w dniu dzisiejszym otrzymałem z rąk pana Montaperto Baldassare, zwanego Sarem, naszyjnik z litego złota, z wisiosem w kształcie serca, również z litego złota, wysadzany diamentami, znaleziony przezeń w rejonie określanym jako „pastwisko” w trakcie wykonywania obowiązków operatora

ekologicznego. Za zgodność...

Podpisał, lecz zawahał się, kiedy na dole strony miał postawić datę. Wreszcie podjął decyzję i napisał: „Vigata, 9 września 1993”. Również Saro właśnie ukończył rysunek. Wymienili się kartkami.

– Świetnie – powiedział komisarz, wpatrując się w szczegółowy plan.

– Ale tu jest błędna data – zauważył Saro – dziewiąty był w poniedziałek. Dziś jest jedenasty.

– Nie ma żadnego błędu. Przyniosłeś mi naszyjnik do biura tego samego dnia, w którym go znalazłeś. Był w twojej kieszeni, kiedy przyszedłeś do komisariatu, żeby powiedzieć, że odkryliście zwłoki Luparella, ale dałeś mi go potem, bo nie chciałeś, żeby zobaczył to twój kolega. Jasne?

– Jeśli pan tak uważa.

– Dobrze schowaj to oświadczenie.

– Co pan teraz zrobi? Aresztuje go pan? – wtrąciła kobieta.

– Dlaczego? A co on takiego przeszkrobał? – zapytał Montalbano wstając.

7

W karczmie „San Calogero” szanowano go nie dlatego, że był komisarzem, ale dlatego, że był dobrym klientem, z tych, co to pozwalają się ugościć. Podali mu świeżutkie barweny, smażone i chrupiące, odsączone na pergaminie. Po kawie i długim spacerze wzdłuż wybrzeża wrócił do biura. Na jego widok Fazio natychmiast wstał z krzesła.

– Komisarzu, ktoś czeka na pana.

– Kto taki?

– Pino Catalano, pamięta go pan? Jeden z tych dwóch śmieciarzy, którzy znaleźli ciało Luparella.

– Zawołaj go.

Od razu dało się wyczuć, że chłopak jest zdenerwowany i spięty.

– Siadaj.

Pino ledwie przytknął siedzenie do krawędzi krzesła.

– Czy mogę się dowiedzieć, dlaczego przyszedł pan do mojego domu i urządził całe to przedstawienie? Ja nie mam nic do ukrycia.

– Zrobiłem tak, żeby nie przestraszyć twojej matki, to wszystko. Gdybym powiedział, że jestem komisarzem, mogłaby przeżyć szok.

– Jeżeli tak, to dziękuję.

– A skąd wiesz, że to ja byłem u ciebie?

– Zadzwoiłem do mamy, żeby spytać, jak się czuje, bo kiedy wychodziłem, bolała ją głowa. Powiedziała, że był jakiś człowiek, żeby dać mi kopertę, ale jej zapomniał. Wyszedł, mówiąc, że zaraz z nią wróci, ale już

nie wrócił. Zaintrygowało mnie to i poprosiłem mamę, żeby opisała tę osobę. Jeżeli kiedyś jeszcze będzie się pan chciał podszyć pod kogoś innego, niech pan sobie zatuszuje pieprzyk pod lewym okiem. Czego pan chce ode mnie?

– Chcę zadać tylko jedno pytanie. Czy przychodził ktoś na „pastwisko”, żeby zapytać, czy znalazłeś tam przypadkiem naszyjnik?

– Tak. Ktoś, kogo pan zna. Filippo di Cosmo.

– I co mu powiedziałaś?

– Że nie znalazłem, zresztą zgodnie z prawdą.

– A on?

– A on powiedział, że jeśli znajdę, to tym lepiej dla mnie, bo podaruje mi pięćdziesiąt tysięcy lirów, jeśli zaś znalazłem, ale nie chcę oddać, to tym gorzej. Dokładnie to samo, co powiedział Sarowi. Ale Saro też niczego nie znalazł.

– Byłeś w domu, zanim tu przyszedłeś?

– Nie, przyszedłem prosto do pana.

– Pisziesz sztuki teatralne?

– Nie, ale lubię czasem występować.

– A to, co to jest?

I podał mu kartkę, którą wziął ze stolika. Pino spojrzał na nią obojętnie i uśmiechnął się.

– Nie, to nie jest żadna scena teatralna, to jest...

Umilkł zakłopotany. Zdał sobie sprawę, że skoro nie są to kwestie dramatu, powinien wyjaśnić, co to jest naprawdę, a nie było to łatwe.

– Pomogę ci – powiedział Montalbano. – To jest zapis rozmowy telefonicznej, którą jeden z was przeprowadził z mecenasem Rizzo natychmiast po odkryciu ciała Luparella, jeszcze zanim przyszlście do

komisariatu, żeby zgłosić znalezienie zwłok. Prawda?

– Tak.

– Który z was dzwonił?

– Ja. Ale Saro stał obok mnie i słyszał.

– Dlaczego to zrobiliście?

– Dlatego, że inżynier był ważną postacią, osobistością. A więc pomyśleliśmy, że trzeba zawiadomić mecenasa. Nie, najpierw chcieliśmy zadzwonić do senatora Cusumano.

– I dlaczego tego nie zrobiliście?

– Ponieważ po śmierci Luparella senator jest jak ktoś, kto podczas trzęsienia ziemi stracił nie tylko dom, ale i pieniądze, które trzymał pod podłogą.

– Wy tłumacz mi to lepiej: dlaczego zawiadomiliście właśnie Rizza?

– Bo myśleliśmy, że można było jeszcze coś zrobić.

– Co?

Pino nie odpowiadał. Pocił się, oblizywał wargi.

– Jeszcze raz ci pomogę. Zakładaliście, że można było jeszcze coś zrobić, jak powiedziałeś. Na przykład wywieźć samochód z „pastwiska”, przenieść ciało gdzie indziej? Myśleliście, że Rizzo każe wam zrobić właśnie coś takiego?

– Tak.

– I byliście skłonni to zrobić?

– No pewnie! Przecież po to zadzwoniliśmy!

– I na co liczyliście w zamian?

– Że znajdzie nam może inną pracę, sprawi, że wygramy konkurs na geometrów, że poleci nas na dobre stanowisko, uwolni od tej śmierdzącej

roboty. Panie komisarzu, pan wie lepiej ode mnie, że bez sprzyjającego wiatru łódź nie popłynie.

– Wytlumacz mi jeszcze najważniejsze: dlaczego zapisałeś tę rozmowę? Miałeś zamiar go szantażować?

– A niby czym? Słowami? Słowa są jak powietrze.

– A więc w jakim celu?

– Jeśli pan chce wierzyć, to dobrze, jeśli nie – trudno. Zapisałem tę rozmowę, bo chciałem ją przeanalizować. Jako miłośnik teatru czułem, że brzmi fałszywie.

– Nie rozumiem.

– Załóżmy, że to, co tu jest zapisane, ma zostać wypowiedziane na scenie, dobrze? A więc ja, postać o imieniu Pino, dzwonię wczesnym rankiem do postaci Rizzo, żeby powiedzieć, że znalazłem zwłoki osoby, której ta postać jest sekretarzem, oddanym przyjacielem, sojusznikiem politycznym. Więcej niż bratem. A postaci Rizzo ani to ziębi, ani grzeje: nie denerwuje się, nie pyta, gdzie go znaleźliśmy, jak umarł, czy został zastrzelony, czy był to wypadek samochodowy. Nic a nic. Pyta tylko, dlaczego o tym zdarzeniu postanowiliśmy opowiedzieć właśnie jemu. Czy według pana wszystko jest tutaj na swoim miejscu?

– Nie, mów dalej.

– Nie dziwi się, i tyle. Wręcz wprowadza dystans pomiędzy zmarłym a sobą, jak gdyby znali się tylko z widzenia. I zaraz mówi, żebyśmy wypełnili nasz obywatelski obowiązek, a więc powiadomili policję. I odkłada słuchawkę. Nie, panie komisarzu, taki dramat to wielka pomyłka, publiczność wybuchnęłaby śmiechem, to wszystko nie tak.

Montalbano pożegnał się z Pinem, zatrzymując kartkę. Kiedy śmieciarz wyszedł, przeczytał ją ponownie.

Wszystko było jak trzeba, i to jeszcze jak! Aż dziw bierze. W hipotetycznym dramacie, który nie był wcale aż tak hipotetyczny, Rizzo, zanim otrzymał telefon, wiedział już, gdzie i jak umarł Luparello, i zależało mu na tym, żeby zwłoki zostały znalezione jak najszybciej.

Jacomuzzi spojrzał na Montalbana ze zdziwieniem: komisarz był wystrojony, miał na sobie ciemnogrnatowy garnitur, białą koszulę, bordowy krawat i czarne lakierki.

- Jezu! Bierzesz dziś ślub?
- Skończyliście z samochodem Luparella? Co tam znaleźliście?
- W środku nic ważnego. Ale...
- ...miał pęknięte resory.
- Skąd wiesz?
- Powiedział mi to mój ptaszek. Patrz!

Wyjął z kieszeni naszyjnik i rzucił na biurko. Jacomuzzi podniósł go i przyjrzał mu się uważnie. Był wyraźnie zdziwiony.

- Ależ on jest prawdziwy! Kosztuje ze sto milionów! Ukradli go?
- Nie, ktoś znalazł go na „pastwisku” i przyniósł mi do biura.
- Na „pastwisku”? A którą dziwkę stać na taki klejnot? Żarty sobie robisz?
- Musisz go zbadać, sfotografować, wykonać wszystkie te swoje zabiegi. Przekaż mi wyniki najszybciej, jak możesz.

Rozległ się dzwonek telefonu. Jacomuzzi odebrał, po czym przekazał słuchawkę koledze.

- Kto mówi?
- To ja, Fazio. Komisarzu, niech pan wraca, mamy tu prawdziwy burdel.

– Co jest?

– Contino, nauczyciel, zaczął strzelać do ludzi.

– Jak to „strzelać”?

– Strzelać, strzelać! Ze swojego tarasu dwa razy wystrzelił do ludzi, którzy siedzieli w barze na dole. Wykrzykiwał przy tym coś, czego nie można było zrozumieć. Trzeci raz strzelił do mnie, kiedy wchodziłem do bramy jego domu, żeby zobaczyć, co się dzieje.

– Zabił kogoś?

– Nie. Jedna kula zadrasnęła ramię niejakiego De Francesco.

– Dobrze, już jadę.

Kiedy Montalbano pędził na złamanie karku, przemierzając te dziesięć kilometrów, które dzieliło go od Vigaty, myślał o nauczycielu. Nie tylko znał Contina, lecz także łączył go z nim pewien sekret. Przed sześcioma miesiącami komisarz spacerował wzdłuż plaży, jak zwykł to czynić dwa, trzy razy w tygodniu, dochodząc do samej latarni. Najpierw jednak wpadał do sklepiku Anselma Greco – nory, która stanowiła wyjątek na bulwarze zabudowanym sklepami odzieżowymi i barami połyskującymi od luster. Oprócz różnych niezwykłych rzeczy, jak figurki z terakoty czy zardzewiałe odważniki z dziewiętnastego wieku, Greco sprzedawał też cukierki i ziarna, łuskaną ciecierzycę i solone pestki dyni. Kto chciał, napełniał sobie nimi pudełeczko i odchodził. Tego dnia Montalbano doszedł do końca swej trasy. Pod samą latarnią zobaczył starszego mężczyznę, który siedział nieruchomo, ze spuszczoną głową, na cementowym falochronie, nie bacząc na wzburzone morze, które co chwila go opryskiwało. Komisarz przypatrzył mu się uważnie, żeby zobaczyć, czy mężczyzna trzyma wędkę, lecz on nie łowił, po prostu nic nie robił. W pewnej chwili wstał, szybko się przeżegnał i wspiął na palce.

– Stać! – krzyknął Montalbano.

Mężczyzna zastygł, myślał, że nikt go nie widzi. Komisarz podbiegł do niego w mgnieniu oka, złapał za kołnierz marynarki, podniósł i pociągnął w bezpieczne miejsce.

– I co miał pan zamiar zrobić? Zabić się?

– Tak.

– Ale dlaczego?

– Bo żona przyprawia mi rogi.

Montalbano nie spodziewał się takiego wyjaśnienia od człowieka, który na pewno przekroczył już osiemdziesiątkę.

– Ile lat ma pańska żona?

– Prawie osiemdziesiąt. A ja osiemdziesiąt dwa.

Absurdalna rozmowa w absurdalnej sytuacji. Komisarz nie miał ochoty jej ciągnąć, wziął więc starca pod rękę i poprowadził w kierunku miasta. Wtedy, chyba po to, żeby sytuacja stała się jeszcze bardziej nienormalna, mężczyzna się przedstawił.

– Pozwoli pan, nazywam się Giosue Contino, jestem emerytowanym nauczycielem szkoły podstawowej. A kim pan jest? Oczywiście, jeżeli ma pan ochotę zdradzić mi swoje nazwisko.

– Nazywam się Salvo Montalbano, jestem komisarzem policji w Vigacie.

– Ach, tak? To dobrze, że to właśnie pan. Niech pan powie tej kurwie, mojej żonie, że nie powinna przyprawiać mi rogów z Agatinem De Francesco, bo któregoś dnia zrobię coś, czego nie powinienem.

– Kim jest ten De Francesco?

– Kiedyś był listonoszem. Jest młodszy ode mnie, ma siedemdziesiąt sześć lat i emeryturę półtora raza wyższą od mojej.

– Czy pan jest pewny swoich podejrzeń, czy to tylko przypuszczenia?

– Pewny jak amen w pacierzu. Codziennie, po obiedzie, deszcz czy słońce, De Francesco przychodzi na kawę do baru, który się mieści na parterze mojego domu.

– No i?

– Jak długo pan pije jedną kawę?

Na chwilę Montalbano poddał się nieszkodliwemu szaleństwu starego nauczyciela.

– Zależy. Jeżeli nie siadam przy stoliku...

– Jak to „nie siadam”? On siada!

– Cóż, zależy, czy jestem umówiony i muszę poczekać, czy chcę tylko zabić czas.

– Nie, mój drogi. Ten pije kawę tylko po to, żeby patrzeć na moją żonę, która patrzy na niego, i nie marnują żadnej okazji, żeby się w siebie wpatrywać.

Tymczasem weszli już do miasta.

– Gdzie pan mieszka?

– Na końcu alei, na placu Dantego.

– Pójdźmy od tyłu, tak będzie lepiej. – Montalbano nie chciał, żeby przemoczony i trzęsący się z zimna staruszek wzbudził ciekawość i pytania mieszkańców Vigaty..

– Wejdzie pan ze mną? Mogę pana poczęstować kawą – zaproponował nauczyciel, wyjmując z kieszeni klucze od bramy.

– Nie, dziękuję. Proszę się przebrać i wysuszyć.

Tego samego wieczoru wezwał De Francesca, byłego listonosza, drobnego i antypatycznego staruszka, który na sugestie komisarza

zaskrzeczał opryskliwie:

– Będę pił kawę, gdzie mi się tylko podoba! Co, może nie wolno chodzić do baru, który jest w domu tego sklerotyka Contina? Dziwię się panu. Zamiast ścigać przestępców, prawi mi pan takie morały!

– Już po wszystkim – powiedział policjant, który pilnował, żeby gapie nie podchodzili do bramy domu na placu Dantego.

Przed drzwiami mieszkania stał brygadier Fazio, bezradnie rozkładając ręce. Pomieszczenia były w doskonałym porządku, aż lśniło. Stary Contino siedział na fotelu, z niewielką plamą krwi na wysokości serca. Rewolwer leżał na podłodze tuż obok fotela. Był to stary model pięciopalcowego smitha and wesson, który pamiętał co najmniej czasy Buffalo Billa i który, niestety, wciąż jeszcze działał. Żona spoczywała na łóżku, również z plamą krwi na wysokości serca, z dłońmi zaciśniętymi na różańcu. Zanim zginęła, musiała się modlić. I Montalbano raz jeszcze pomyślał o kwestorze, który tym razem miał rację: tutaj śmierć rzeczywiście okazała swą godność.

Nerwowo, poirytowanym głosem wydał polecenia brygadierowi i kazał mu czekać na sędziego. Oprócz nagłego żalu poczuł również lekki wyrzut sumienia: a gdyby mądrzej pomógł nauczycielowi? Gdyby poinformował we właściwym momencie przyjaciół Contina i jego lekarza?

Długo spacerował po wybrzeżu i po ulubionym bulwarze, zanim uspokoił się na tyle, by wrócić do biura. Fazio dosłownie wychodził z siebie.

– Co jest? Co się stało? Sędzia jeszcze nie przyszedł?

– Przyszedł, zwłoki już, dawno zabrali.

– A więc co się tak gorączkujesz?

– Krew mnie zalewa, bo kiedy pół miasta się zleciało, żeby popatrzeć, jak

strzela stary Contino, jakieś sukinsyny to wykorzystały i okradły dwa mieszkania, wyczyściły je na cacy. Wysłałem tam już czterech ludzi. Czekalem tylko na pana, żeby za nimi jechać.

– Dobrze, leć. Ja zostanę.

Zdecydował, że najwyższy czas wyciągnąć asa z rękawa. Mechanizm, który sobie obmyślił, musiał zadziałać bez zarzutu.

– Jacomuzzi?

– Co, do cholery! Skąd ten pośpiech? Nic jeszcze nie wiem o tym twoim naszyjniku. Za wcześnie.

– Rozumiem, że na razie nie możesz mi nic powiedzieć, zdaję sobie z tego doskonale sprawę.

– A więc czego chcesz?

– Prosić cię o największą dyskrecję. Sprawa naszyjnika nie jest wcale taka prosta, jak się wydaje. Może prowadzić do nieprzewidzianych wniosków.

– Oj, bo się obrażę! Jeżeli chcesz, żebym o czymś nie mówił, to przecież nie powiem nikomu, nawet Panu Bogu!

– Inżynier Luparello? Jest mi niewymownie przykro, że nie mogłem przyjść. Ale proszę mi wierzyć – naprawdę było to niemożliwe. Niech pan przeprosi w moim imieniu matkę.

– Proszę chwilę poczekać, komisarzu.

Montalbano zastosował się do prośby.

– Pan komisarz? Mama mówi, że jeśli to panu odpowiada, to jutro o tej samej porze.

Odpowiadało mu, więc potwierdził termin.

8

Wrócił do domu zmęczony, z postanowieniem, że natychmiast położy się spać, lecz mimochodem, niemal odruchowo, włączył telewizor. Dziennikarz Telegigaty omówił wydarzenie dnia – strzelaninę, która przed kilkoma godzinami wywiązała się między drugorzędnymi członkami mafii na peryferiach Miletty – a następnie poinformował, że w Montelusie spotkały się prowincjonalne władze partii, do której należał (a raczej już nie należał) inżynier Luparello. W czasach mniej burzliwych niż obecne, okazując zmarłemu należny szacunek, zebranie nadzwyczajne zwołano by nie wcześniej niż po upływie trzech dni od daty zgonu, lecz w chwili obecnej zawirowania polityczne wymuszały jasne i szybkie decyzje. Na sekretarza regionalnego wybrano więc jednogłośnie doktora Angela Cardamone, ordynatora oddziału ortopedii w szpitalu w Montelusie, człowieka, który był politycznym rywalem Luparella, lecz występował przeciw niemu zawsze lojalnie, odważnie i z otwartą przyłbicą. Te różnice poglądów – wedle słów komentatora – można było streścić w następujący sposób: inżynier opowiadał się za utrzymaniem koalicji, lecz przy udziale sił nowych, nie zdemoralizowanych polityką (czytaj: nie objętych jeszcze postępowaniem prokuratury), podczas gdy ortopeda skłaniał się ku czujnemu i ostrożnemu dialogowi z lewicą. Nowo wybrany sekretarz otrzymał wiele telegramów i telefonów z gratulacjami, również od opozycji. Występując przed kamerą, wydawał się wzruszony, ale i zdeterminowany. Oświadczył, że uczyni wszystko, żeby nie sprzeniewierzyć się świętej pamięci poprzednika, i na zakończenie obiecał, że odnowionej partii ofiaruje „swój aktywny wysiłek i wiedzę”.

„To dobrze, że ofiaruje ją partii” – wyrwało się Montalbanowi, który doskonale zdawał sobie sprawę, że chirurgiczna wiedza Cardamonego przyniosła regionowi więcej inwalidów niż potężne trzęsienie ziemi.

Zaraz potem dziennikarz wypowiedział słowa, których komisarz wysłuchał ze zdwojoną uwagą. Otóż aby doktor Cardamone mógł bez przeszkód podążać własną drogą, nie odcinając się od zasad i od osób, które stanowiły o sile działalności politycznej inżyniera, członkowie sekretariatu poprosili mecenasa Rizzo, duchowego spadkobiercę Luparella, by stanął u boku nowego sekretarza. Po zrozumiałych wahaniach, wynikających z obaw przed trudnymi zadaniami, jakie nakłada na niego ta nieoczekiwana funkcja, Rizzo dał się namówić i przyjął powierzone obowiązki. W wywiadzie, którego udzielił Telegiacie, oświadczył ze wzruszeniem, że musiał przyjąć na siebie ciężar tej odpowiedzialności, pragnie bowiem pozostać wiemy pamięci swojego mistrza i przyjaciela, którego działaniem powodowało jedno i tylko jedno – chęć służenia społeczeństwu. Montalbano z początku zdziwił się: jak to, nowo wybrany sekretarz godzi się na oficjalną obecność kogoś, kto był najwierniejszym współpracownikiem jego głównego przeciwnika? Jednak po krótkim zastanowieniu komisarz uznał swoje zdziwienie za naiwne: ta partia od zawsze wyróżniała się wrodzonym powołaniem do kompromisu. Możliwe, że Cardamone nie stał jeszcze zbyt mocno na nogach, by samemu podołać problemom, i potrzebował wsparcia.

Montalbano przełączył kanał. W stacji telewizyjnej Retelibera, która należała do lewicowej opozycji, wypowiadał się Nicolo Zito. Ten ceniony komentator wyjaśniał, że bez względu na wszystko, tak czy siak (mówiąc kolokwialnie), *mutatis mutandis* (mówiąc po łacinie), na wyspie, a szczególnie w prowincji Montelusa, nic nigdy się nie zmienia, nawet jeśli barometr wskazuje burzę. Zacytował, i cytował ten był tu jak najbardziej na miejscu, zdanie księcia Saliny, że trzeba zmienić wszystko, aby tak naprawdę

nic się nie zmieniło, i stwierdził na zakończenie, że i Luparello, i Cardamone to dwie strony tego samego medalu, które stapia w jedno nikt inny, tylko mecenas Rizzo.

Montalbano podbiegł do telefonu, wykręcił numer Retelibery i poprosił Zita. Z dziennikarzem łączyła go nić sympatii, prawie przyjaźń.

– Czego chcesz, komisarzu?

– Spotkać się z tobą.

– Drogi przyjacielu, jutro rano jadę do Palermo i wracam dopiero za tydzień. Jeśli nie masz nic przeciw temu, mogę przyjść do ciebie za pół godziny. Zrób coś do jedzenia, jestem głodny.

Talerz makaronu z oliwą i czosnkiem można było przygotować bez problemu. Otworzył lodówkę; Adelina zostawiła w niej dużą porcję gotowanych krewetek, jedzenia wystarczyłoby dla czterech. Jego gospodyni była matką dwóch przestępców, a młodszy z braci, którego Montalbano aresztował osobiście trzy lata temu, wciąż jeszcze siedział w więzieniu.

Kiedy Livia przyjechała do Vigaty w lipcu na dwa tygodnie i usłyszała tę historię, była przerażona.

– Oszalałeś? Przecież ona kiedyś będzie się chciała zemścić i należy ci trucizny do zupy!

– A za co niby miałyby się mścić?

– Przecież aresztowałeś jej syna!

– A czy to moja wina? Adelina doskonale wie, że to tylko jej syn był tak głupi, że dał się złapać. Ja aresztowałem go uczciwie, nie stosowałem ani podstępów, ani pułapek. Wszystko odbyło się prawidłowo.

– Nie obchodzi mnie wasze pokrętne rozumowanie. Musisz ją odprawić.

– Ale jeśli to zrobię, kto będzie mi sprzątał, prał, prasował, gotował?

– Znajdziesz sobie kogoś innego!

– I tu się mylisz: drugiej takiej jak Adelina nie znajdę nigdzie.

Miał właśnie postawić wodę na gazie, kiedy zadzwonił telefon.

– Chciałbym się zapaść pod ziemię ze wstydu, że jestem zmuszony zrywać pana o tej porze – rozległo się w słuchawce.

– Nie spałem. Kto mówi?

– Pietro Rizzo, adwokat.

– Ach, pan mecenas, moje gratulacje.

– A to z jakiego powodu? Jeżeli ma pan na myśli zaszczyt, którym dopiero co obdarzyła mnie partia, to oczekiwałbym raczej wyrazów współczucia. Zgodziłem się, proszę mi wierzyć, jedynie przez wzgląd na wierność ideałom biednego inżyniera, którymi na zawsze czuję się związany z jego osobą. Ale powróćmy do przyczyn mojego telefonu. Muszę się z panem spotkać, komisarzu.

– Teraz?!

– Nie teraz, ma się rozumieć, lecz proszę mi wierzyć, że chodzi o sprawę bezwzględnie nieodwlekalną.

– Możemy się spotkać jutro rano, ale jutro jest chyba pogrzeb? Pewnie będzie pan zajęty.

– I to jak! Również po południu. Rozumie pan, któryś ze znakomitych gości na pewno zechce zabawić dłużej.

– Więc kiedy?

– A może jednak moglibyśmy się spotkać jutro rano, tyle że wcześniej. O której pan zwykle przychodzi do pracy?

– Około ósmej.

– O ósmej byłoby świetnie. Zresztą zajmę panu dosłownie tylko kilka minut.

– Skoro jutro będzie pan miał mało czasu, może już teraz powie mi pan, o co chodzi.

– Przez telefon?

– Tylko pobieżnie.

– Dobrze. Dotarło do mnie... nie wiem, jak dalece jest to zgodne z prawdą... że został panu przekazany pewien przedmiot, który ktoś znalazł przypadkiem na ziemi. Zostałem poproszony o to, żeby go odzyskać.

Montalbano zakrył dłonią słuchawkę i dosłownie zarżał jak koń, roześmiał się od ucha do ucha. Założył przynętę na haczyk Jacomuzziego i podstęp doskonale się udał: na haczyku zawisła najgrubsza ryba, jaką mógł sobie wymarzyć. Lecz jak to możliwe, że Jacomuzzi informował wszystkich o sprawach, o których wszyscy wiedzieć nie mogli? Za pomocą lasera, telepatii, magicznych obrzędów szamańskich?

Usłyszał krzyk adwokata.

– Halo! Halo! Nie słyszę pana! Przerwało połączenie czy co?

– Nie, proszę wybaczyć, upadł mi na podłogę ołówek i musiałem go podnieść. A więc jutro o ósmej.

Na dźwięk dzwonka u drzwi wrzucił makaron do garnka i poszedł otworzyć.

– Co masz dla mnie? – spytał od razu Zito.

– Makaron z oliwą i czosnkiem, krewetki z oliwą i cytryną.

– Świetnie.

– Chodź do kuchni, pomożesz mi. A tymczasem zadam ci pierwsze pytanie: czy umiesz powiedzieć „bezwzględnie nieodwlekalne”?

– Odbiło ci? Każesz mi pędzić na złamanie karku z, Montelusy do Vigaty, żeby mnie spytać, czy umiem wymówić jakieś słowa? W każdym razie to nic

trudnego. Łatwizna.

Spróbował trzy albo cztery razy, z coraz większym uporem, ale nie udało mu się – za każdym razem zaplątywał się coraz gorzej.

– Trzeba mieć nie lada zdolności – powiedział komisarz, mając na myśli Rizza, i nie chodziło mu tylko o talent adwokata do wymawiania trudnych sformułowań.

Jak to często bywa, jedli, rozmawiając o jedzeniu. Wspominając krewetki jak marzenie, którymi zajadał się przed dziesięciu laty w Fiakce, Zito określił danie przyjaciela jako „nie dogotowane” i zaczął narzekać na brak natki.

– Jak to się stało, że wszyscy w Reteliberze staliście się nagle Anglikami? – natarł bez uprzedzenia Montalbano, popijając danie białym winem, na które jego ojciec natrafił w okolicy Randazzo. Przed tygodniem przywiózł mu sześć butelek, lecz był to tylko pretekst, by pobyć trochę z synem.

– Anglikami? W jakim znaczeniu?

– A w tym, że powstrzymaliście się przed oczernianiem Luparella, które dotąd było waszą specjalnością. Oto inżynier umiera na zawał w czymś w rodzaju burdelu pod gołym niebem, wśród kurew, alfonsów i ciot, ze spuszczonej portkami, w ewidentnie nieobyczajnej pozycji, a wy, zamiast skorzystać z okazji, przyłączacie się do chóru i spuszczaście zasłonę miłosierdzia na okoliczności jego śmierci.

– Nie mamy zwyczaju wykorzystywać sytuacji – odparł Zito.

Montalbano wybuchnął śmiechem.

– Zrób mi tę przyjemność, Nicolo, i idź do diabła, ty i cała Retelibera.

Tym razem to Zito wybuchnął śmiechem.

– Więc dobrze, sprawy miały się następująco. Kilka godzin po tym, jak znaleziono zwłoki, mecenas Rizzo popędził do barona Filó di Baucina, czerwonego barona, miliardera, lecz komunisty, i prosił go ze złożonymi

rękami, żeby Retelibera nie podawała okoliczności zgonu. Zaapelował do rycerskości, która, jak się wydaje, cechowała niegdyś przodków barona. Jak dobrze wiesz, baron ma w ręku osiemdziesiąt procent udziałów w naszej stacji. To wszystko.

– Gówna prawda. I ty, Nicolo Zito, człowiek, który zdobył sobie szacunek przeciwników, mówiąc zawsze to, co powinien powiedzieć, stajesz na baczność przed baronem i chowasz ogon pod siebie?

– Jakiego koloru są moje włosy? – zapytał Zito.

– Rude.

– Drogi Montalbano, ja jestem czerwony w środku i na zewnątrz, należę do wymierającego gatunku złych i kłótliwych komunistów. Zgodziłem się w przekonaniu, że ten, który prosił o przemilczenie okoliczności śmierci Luparella, jakoby nie chcąc zbrukać pamięci nieszczęśnika, nienawidzi go, a nie kocha, jak starał się to pokazać.

– Nie rozumiem.

– Więc ci to wytłumaczę, naiwniaku. Jeżeli chcesz zręcznie zatrzeć pamięć o jakimś skandalu, wystarczy, że będziesz o nim mówił jak najwięcej, w telewizji, w gazetach. W kółko to samo, w tę i we w tę, i już wkrótce ludzie zaczną mieć tego powyżej uszu. Jak długo można gadać o tym samym?! Mogliby już dać sobie spokój! Efekt nasycenia sprawia, że po dwóch tygodniach nikt nie ma ochoty słuchać o tym skandalu. Rozumiesz?

– Chyba tak.

– A jeśli starasz się wszystko przemilczeć, wtedy cisza zaczyna mówić, rodzi domysły, mnoży je w nieskończoność. Chcesz dowodów? Czy wiesz, ile telefonów odebraliśmy w redakcji właśnie z powodu naszego milczenia? Setki. A czy to prawda, że inżynier brał sobie do samochodu dwie dziewczyny naraz? A czy to prawda, że lubił przekładaniec i kiedy on

pieprzył dziwkę, to od tyłu obrabiał go Murzyn? I ostatni, z. dzisiejszego wieczoru: czy to prawda, że Luparello dawał swoim kurwom niesamowite klejnoty? Podobno znaleźli taki jeden na „pastwisku”. A propos, czy coś o tym wiesz?

– Ja? Nie, to na pewno jakaś bzdura – skłamał chłodno komisarz.

– A widzisz? Jestem pewien, że za kilka miesięcy przyjdzie do mnie jakiś kutas i zapyta, czy to prawda, że inżynier rąbał czteroletnich chłopców, a potem faszerował ich kasztanami i zjadał. Jego skurwienie przetrwa wieki, stanie się legendą. A teraz mam nadzieję, że zrozumiałeś już, dlaczego zgodziłem się zachować dyskrecję.

– A Cardamone jaką ma propozycję?

– Cóż, jego wybór był przedziwny. Widzisz, w regionalnych władzach partii wszyscy byli ludźmi Luparella, oprócz dwóch kumpli Cardamonego, których trzymano tam dla picu, żeby zachować pozory demokracji. Nikt nie miał wątpliwości, że nowy sekretarz może i musi być stronnikiem inżyniera. Tymczasem... zaskoczenie: wstaje Rizzo i proponuje Cardamonego. Ludzie klanu nie wierzą własnym uszom, ale nie mają odwagi się przeciwstawić. Jeżeli Rizzo tak mówi, to znaczy, że grozi jakieś niebezpieczeństwo, że coś się może wydarzyć; trzeba robić to samo co mecenas. I głosują za. Zostaje wybrany Cardamone, który przyjmuje funkcję i zawstydzając tych swoich dwóch popleczników, sam proponuje, by u jego boku stanął Rizzo. Ale rozumiem Cardamonego: lepiej wziąć go na pokład, pomyślał, niż pozwolić, by pływał jak mina.

Następnie Zito zaczął opowiadać o książce, którą ma zamiar napisać; zanim się obejrżeli, była czwarta.

Właśnie sprawdzał stan zdrowia kaktusa, którego dostał od Livii i trzymał na oknie w gabinecie, kiedy zajechała reprezentacyjna granatowa limuzyna.

Z auta, wyposażonego w telefon, kierowcę i ochroniarza, pierwszy wysiadł właśnie ochroniarz i otworzył drzwi przed niskim łysym mężczyzną w garniturze tego samego koloru co auto.

– Ktoś do mnie przyjechał, nie każ mu czekać – powiedział Montalbano do wartownika.

Kiedy Rizzo wszedł, komisarz zauważył, że rękaw jego koszuli opasuje czarna wstęga na szerokość dłoni. Adwokat zdążył już przywdziać żałobę na uroczystości pogrzebowe.

– Cóż mam zrobić, żeby pan zechciał mi wybaczyć?

– Co takiego?

– Wczorajszy telefon. Do domu, i to późną nocą.

– Przecież powiedział pan, że sprawa jest bezwzględnie...

– Bezwzględnie nieodwlekalna, oczywiście.

Co za niezwykle człowiek, ten Pietro Rizzo!

– Przechodzę do rzeczy. W ubiegłą niedzielę późnym wieczorem dwoje młodych ludzi... nawiasem mówiąc, nader szanowanych... po zakrapianej kolacji postanowiło trochę poszaleć. Żona namówiła małżonka, żeby ją zabrał na „pastwisko”; była ciekawa zarówno miejsca, jak i tego, co się tam dzieje. Ciekawość godna nagany, owszem, ale nic więcej. Kiedy zatrzymali się na obrzeżu „pastwiska”, kobieta wysiadła. Lecz prawie natychmiast, zrażona wulgarnymi propozycjami, które posypały się w jej kierunku, wróciła do samochodu i oboje odjechali. Dopiero w domu stwierdziła brak kosztownego przedmiotu, który miała na szyi.

– Co za dziwny zbieg okoliczności – mruknął pod nosem Montalbano.

– Słucham?

– Pomyślałem, że prawie o tej samej porze i w tym samym miejscu zmarł inżynier Luparello.

Mecenas Rizzo nie tylko się nie zmieszał, ale nawet przybrał poważny wyraz twarzy.

– Wie pan, ja też na to zwróciłem uwagę. Ironia losu.

– Przedmiot, o którym pan mówi, to naszyjnik z litego złota, z sercem wysadzonym kamieniami szlachetnymi?

– Dokładnie. Przychodzę więc prosić, żeby zwrócił go pan prawowitym właścicielom, z zachowaniem tej samej dyskrecji, którą wykazał pan po odnalezieniu ciała mojego biednego inżyniera.

– Proszę mi wybaczyć – powiedział komisarz – ale ja nie mam najmniejszego pojęcia, jak należy postępować w takim przypadku. W każdym razie myślę, że wszystko wyglądałoby inaczej, gdyby właścicielka przyszła tu osobiście.

– Ależ ja mam pełnomocnictwo!

– Ach, tak? Proszę mi je okazać.

– To żaden problem, komisarzu. Rozumie pan, przed ujawnieniem nazwisk moich klientów chciałem być całkiem pewny, że to ten sam przedmiot, którego szukają.

Włożył rękę do kieszeni, wyjął z niej kartkę i wręczył Montalbanoowi. Komisarz przeczytał ją uważnie.

– Kim jest Giacomo Cardamone, który udziela pełnomocnictwu?

– To syn profesora Cardamone, nowego sekretarza regionalnego naszej partii.

Montalbano postanowił odegrać przedstawienie raz jeszcze.

– Ależ, to dziwne! – skomentował bardzo cicho, udając zadumę.

– Przepraszam, nie dosłyszałem.

Montalbano nie odpowiedział od razu, igrając z cierpliwością rozmówcy.

– Pomyślałem, że los, jak to pan określił, ironizuje w tej sprawie aż nadto swawolnie.

– W jakim sensie?

– W takim, że syn nowego sekretarza politycznego przebywa o tej samej porze w tym samym miejscu, w którym umiera poprzedni sekretarz. Nie wydaje się to panu dziwne?

– Teraz, kiedy pan to mówi, owszem. Ale kategorycznie wykluczam jakikolwiek związek między tymi dwiema sprawami.

– Ja również wykluczam – zgodził się Montalbano. – Nie mogę odczytać nazwiska, które widnieje obok podpisu Giacoma Cardamone.

– To nazwisko jego żony, Szwedki. Powiem panu w zaufaniu, że to nieco rozwiązała kobieta, która nie umie się dostosować do naszych obyczajów.

– Ile według pana może być wart ten klejnot?

– Nie znam się na tym. Właściciele mówią, że około osiemdziesięciu milionów.

– A zatem zróbmy w ten sposób. Zadzwońnię później do Jacomuzziego, który obecnie przechowuje naszyjnik, i każę go sobie odesłać. Jutro rano prześlę panu klejnot do biura przez agenta.

– Naprawdę nie wiem, jak mam panu dziękować...

Montalbano przerwał mu.

– Mojemu agentowi wręczy pan oficjalne poświadczenie odbioru...

– Ależ oczywiście!

– ...oraz czek na dziesięć milionów. Ci, którzy odnajdują kosztowności oraz pieniądze, zasługują na znaleźne. Pozwoliłem sobie zaokrąglić wartość naszyjnika.

Rizzo przyjął cios niemal wytwornie.

– To bezwzględnie uzasadnione. Na kogo mam wystawić czek?

– Na Baldassare Montaperto, jednego z dwóch śmieciarzy, którzy znaleźli ciało inżyniera.

Adwokat dokładnie zanotował podane nazwisko.

9

Rizzo nie zamknął jeszcze za sobą drzwi, a Montalbano wybierał już prywatny numer Nicolo Zito. To, co przed chwilą usłyszał od adwokata, nakręcało w jego mózgu mechanizm, który powodował gorączkę działania. Odebrała żona Zita.

– Mąż właśnie wyszedł, wyjeżdża do Palermo. – Po czym dodała podejrzliwym głosem: – A dziś w nocy nie był przypadkiem u pana?

– Oczywiście, że był, ale dopiero rano przypomniałem sobie o czymś, co jest dla mnie niezwykle istotne.

– Proszę zaczekać, może uda mi się go jeszcze złapać przez domofon.

Niebawem usłyszał najpierw sapanie, a potem głos przyjaciela.

– Czego jeszcze chcesz? Cała noc to za mało?

– Muszę się czegoś dowiedzieć.

– Jeśli to coś krótkiego.

– Chcę wiedzieć wszystko, ale to wszystko, nawet najbardziej dziwne rzeczy, o Giacomie Cardamone i jego żonie, która podobno jest Szwedką.

– Jak to „podobno”? Tyka na metr osiemdziesiąt, blondyna, a co za nogi, co za piersi! Jeżeli chcesz wiedzieć naprawdę wszystko, nie wystarczy mi czasu, żeby ci opowiedzieć. Posłuchaj, zrobmy tak: teraz już muszę jechać, ale w drodze się zastanowię i zaraz po przyjeździe wyślę ci faks.

Gdzie mi go wyślesz? Do komisariatu? Przecież my jesteśmy wciąż na etapie tam-tamów i znaków dymnych.

– No to taks wyślę do studia w Montelusie. Wpadnij tam jeszcze dzisiaj w porze obiadowej.

Nie mógł wysiedzieć w miejscu, więc wyszedł z gabinetu i zajrzał do pokoju podoficerów.

– Jak się czuje Tortorella?

Fazio skierował wzrok na puste biurko kolegi.

– Wczoraj byłem u niego. Chyba w poniedziałek wypuszczą go ze szpitala.

– Czy wiesz, jak można wejść do starej fabryki??

– Kiedy wybudowali ogrodzenie, na samym końcu założyli żelazną furtkę, tak ciasną, że trzeba się przez nią dosłownie przeciskać.

– Kto ma klucz?

– Nie wiem, mogę się dowiedzieć.

– Nie tylko się dowiedz, ale i przynieś go rano.

Wrócił do gabinetu i zadzwonił do Jacomuzziego. Ten odezwał się dopiero po dłuższej chwili.

– Co ci jest, masz sraczkę?

– Co tam znowu, Montalbano?

– Co znalazłeś na naszyjniku?

– A co miałem znaleźć? Nic. A tak naprawdę to odciski palców, ale tak liczne i tak pozacierane, że nie do odczytania. Co mam z nim zrobić?

– Odeślij mi w ciągu dnia. W ciągu dnia, zrozumiano?

Z sąsiedniego pokoju dotarł do niego poirytowany głos Fazio.

– Czy naprawdę nikt nie wie, do kogo należała fabryka Sicilchim? Musi być jakiś likwidator, stróż!

Kiedy zobaczył Montalbana, rozłożył ręce.

– Chyba już łatwiej byłoby zdobyć klucze świętego Piotra.

Komisarz powiedział, że wychodzi i wróci najpóźniej za dwie godziny. Po powrocie chce widzieć klucz na swoim biurku.

Kiedy tylko stanął w progu, żona Montaperta zbladła i położyła dłoń na sercu.

– Mój Boże! Co się stało?

– Nic, co mogłoby panią niepokoić. Tym razem mam dobre wiadomości, proszę mi wierzyć. Czy zastałem pani męża?

– Tak, dziś wrócił wcześniej.

Kobieta wprowadziła go do kuchni i poszła zawołać Sara, który położył się w sypialni obok synka i próbował go uspić choć na chwilę.

– Proszę usiąść – powiedział komisarz – i słuchać uważnie. Dokąd mieliście zawieźć wasze dziecko po zastawieniu naszyjnika?

– Do Belgii – odpowiedział natychmiast Saro. – Mój brat, który tam mieszka, zaproponował, że możemy zatrzymać się u niego na jakiś czas.

– Macie pieniądze na podróż?

– Wypruwając sobie żyły, coś udało nam się odłożyć – odparła kobieta bez cienia dumy.

– Ale wystarczy na samą podróż – dodał Saro.

– Świetnie. A więc jeszcze dzisiaj udasz się na dworzec i kupisz bilet. To znaczy: pojedziesz autobusem do Raccadali, tam jest agencja.

– Tak. Ale dlaczego aż do Raccadali?

– Nie chcę, żeby tu, w Vigacie, wiedziano o waszych zamiarach. Tymczasem pani spakuje was do wyjazdu. Nie mówcie nikomu, nawet rodzinie, dokąd jedziecie. Czy to jasne?

– Jeśli o to chodzi, to wszystko jasne. Ale proszę wybaczyć, komisarzu, co złego jest w tym, że chcemy jechać do Belgii, żeby wyleczyć nasze dziecko?

Każe nam pan utrzymywać to w tajemnicy, jak gdyby chodziło o czyn niezgodny z prawem.

– Saro, nie robisz nic wbrew prawu, to oczywiste. Ja jednak muszę się upewnić co do wielu spraw, dlatego zaufaj mi i rób wszystko tak, jak ci mówię.

– Dobrze, ale skoro pieniędzy starczy nam tylko na drogę tam i z powrotem, po co mamy jechać do Belgii? Na wycieczkę?

– Będziecie mieli dość pieniędzy. Jutro rano jeden z moich agentów przyniesie wam czek na dziesięć milionów.

– Dziesięć milionów, a to dlaczego? – Sarowi dech zaparło w piersi.

– Należą ci się zgodnie z prawem jako znaleźne za naszyjnik, który przyniosłeś do komisariatu. Te pieniądze możecie wydawać z podniesionym czołem, bez problemów. Kiedy tylko dostaniesz czek, biegnij podjąć gotówkę i wyjeżdżajcie.

– Kto wystawił czek?

– Mecenaz Rizzo.

– Ach – wydusił Saro i poczerwieniał.

Nic musisz się bać, sprawa jest legalna i mam nad nią kontrole. Ale lepiej będzie podjąć wszystkie środki ostrożności, bo nie chciałbym, żeby Rizzo zachował się jak jeden z tych sukinsynów, którzy zmieniają zdanie albo którym coś nagle wypada z pamięci. Dziesięć milionów piechotą nie chodzi.

Giallombardo zawiadomił go, że brygadier pojechał po klucze do starej fabryki, ale wróci dopiero za co najmniej dwie godziny: stróż zaniemógł i przebywał u syna w Montedoro. Agent dodał również, że dzwonił sędzia Lo Blanco i prosił o kontakt przed dziesiątą.

– Ach, pan komisarz, to dobrze, właśnie wychodzę, idę do katedry na

pogrzeb. Wiem, że zostanę osaczony, dosłownie osaczony przez różne osobistości, i wszyscy będą pytali mnie o to samo. Pan wie o co?

– Dlaczego sprawa Luparella nie została jeszcze zamknięta?

– Zgadł pan, komisarzu, i to nie są żarty. Nie chciałbym uciekać się do wzniosłych słów, nie chciałbym zostać źle zrozumiany... krótko mówiąc, jeżeli ma pan w ręku jakieś konkrety, niech pan kontynuuje pracę, w przeciwnym razie proszę zamknąć dochodzenie. Zresztą, niech będzie mi wolno zapytać, bo nie potrafię zrozumieć: czego pan jeszcze szuka? Inżynier zmarł śmiercią naturalną. A pan się upiera przy swoim tylko dlatego, przynajmniej tak mi się wydaje, że śmierć nastąpiła na „pastwisku”. Proszę zaspokoić moją ciekawość: a gdyby tak Luparello został znaleziony na poboczu drogi, czy wówczas też by pan zgłaszał wątpliwości? Niech pan odpowie.

– Nie.

– A więc co pan chce osiągnąć? Sprawę trzeba zamknąć najpóźniej jutro. Rozumiemy się?

– Proszę się nie irytować, panie sędzio.

– Owszem, irytuję się, ale na siebie samego. Zmusza mnie pan do tego, bym użył słowa „casus”, którego w tym przypadku nie powinienem użyć. Do jutra, jasne?

– Czy możemy przedłużyć termin do soboty włącznie?

– Co to, jesteśmy na targu? No dobrze. Lecz jeśli przeciągnie pan sprawę choćby o godzinę, to zasugeruję przełożonym, by rozważyli pańskie postępowanie.

Zito dotrzymał słowa. Sekretarka z Retelibery wręczyła Montalbanowi faks z Palermo, który przeczytał, jadąc w kierunku „pastwisku”.

Panicz Giacomo to wierna kopia tatusia, pozbawiona najmniejszego nawet błysku fantazji. Ojciec uchodzi za uprzejmego człowieka, choć ma pewną skazę, o której za chwilę, w przeciwieństwie do biednego Luparella. Giacomino mieszka na pierwszym piętrze ojcowskiego pałacu z drugą żoną, Ingrid Sjostrom, o której walorach już Ci wspominałem w rozmowie. Wymienię kilka jego zasług, przynajmniej tych, które przychodzą mi do głowy. Ciemny jak tabaka, nigdy nie chciał się uczyć i nie przykładał się do niczego oprócz przedwczesnej analizy damskiego przyrodzenia, a jednak co roku zdawał z najlepszą cenzurką dzięki pośrednictwu Boga Ojca (a raczej po prostu ojca). Choć był na liście studentów medycyny, nigdy nie chodził na wykłady (na szczęście dla ludzkości). Gdy miał szesnaście lat, prowadząc bez prawa jazdy duży samochód ojca, śmiertelnie potrącił ośmioletniego chłopca. Giacomino praktycznie nigdy za to nie zapłacił, zapłacił natomiast ojciec, i to bardzo słono, rodzinie chłopca. Kiedy G. osiągnął pełnoletność, założył firmę usługową. Po dwóch latach firma upadła, Cardamone nie stracił na tym ani jednego lira, za to jego wspólnik strzelił sobie w łeb, a funkcjonariusz policji finansowej, który postanowił przyjrzeć się tej sprawie z bliska, został nieoczekiwanie przeniesiony do Bolzano. Obecnie Giacomino zajmuje się produktami farmaceutycznymi (możesz to sobie wyobrazić: klientów napędza mu ojciec!) i wydaje, na lewo i prawo, o wiele więcej, niż wykazują to jego przychody.

Uwielbia auta wyścigowe i konie, założył (w Montelusie!) klub polo, w którym co prawda nie odbył się ani jeden mecz, ale kokainę wdycha się tam, że aż miło.

Gdybym miał wyrazić szczerze własną opinię o tej postaci, powiedziałbym, że to nadzwyczajny przypadek sukinsyna, jeden z tych, którzy zapuszczają korzenie tylko tam, gdzie działa ich wpływowość i bogaty

ojciec. W wieku dwudziestu dwóch lat zawarł związek małżeński (czy tak się to mówi?) z Albamariną (dla przyjaciół – Babą) Collatino, pochodzącą z bogatej rodziny handlowców z Palermo. Dwa lata później Baba napisała wniosek do Świętej Roty o rozwiązanie węzła małżeńskiego, podając jako powód mężowską impotentia generandi. Byłbym zapomniał: w wieku osiemnastu lat, czyli na cztery lata przed ślubem, córka jednej ze służących zaszła z Giacominem w ciążę i ten przykry incydent został jak zwykle wyciszony przez Wszechmogącego. Możliwości są zatem dwie: albo skłamała Baba, albo skłamała córka służącej. Wedle niezbadanych rozstrzygnięć rzymskich dostojników kłamała służąca (jakżeby inaczej!), Giacomo nie był w stanie prokreować (i trzeba jeszcze dziękować za to Najwyższemu). Po unieważnieniu Baba zaręczyła się z kuzynem, z którym kiedyś już coś ją łączyło, a Giacomo skierował się w stronę mglistej Północy, żeby zapomnieć o przykrych przeżyciach.

W Szwecji wziął udział w morderczym rajdzie terenowym wśród jezior, urwisk i skał: triumfatorką okazała się potężna blondyna, z zawodu mechanik, nazwiskiem Ingrid Sjostrom. Cóż Ci jeszcze powiedzieć, żeby oddalić się od scenariusza telenoweli? Grom z jasnego nieba i ślub. Są razem już od pięciu lat, co jakiś czas Ingrid wraca do swojej ojczyzny i bierze udział w rajdach samochodowych. Ze szwedzką bezpośredniością i swobodą przyprawia mężowi rogi. Wczoraj pięciu dżentelmenów (tak to nazwijmy) zorganizowało w klubie polo zabawę towarzyską. Wśród gier była i taka: kto nie przespał się z Ingrid, niech wstanie. Cała piątka pozostała na swoich miejscach. Wszyscy śmiali się do rozpuku, a najgłośniejszym Giacomo, który był wtedy w klubie, ale w zabawie nie brał udziału. Wieść, absolutnie nie do sprawdzenia, głosi, że być może surowy profesor Cardamone, ojciec, też przeleciał synową. I to jest właśnie ta skaza, o której wspomniałem na początku. Nic innego nie przychodzi mi do głowy. Mam nadzieję, że byłem

tak niedyskretny, jak się tego po mnie spodziewałeś. Bywaj.

Nicolo

Kiedy o drugiej dotarł na „pastwisko”, nie napotkał tam żywego ducha. Zardzewiały zamek w żelaznej furtce oblepiony był solą. Komisarz przewidział to, więc zaopatrzył się w olej w spreju, służący do smarowania broni. Wrócił do samochodu, żeby poczekać, aż działanie oleju odniesie zamierzony skutek, i włączył radio.

Pogrzeb – zgodnie ze słowami spikera rozgłośni lokalnej – osiągnął takie napięcie emocjonalne, że w pewnej chwili wdowa zemdlła i musiano ją wynieść na zewnątrz. Mowy pogrzebowe wygłosili kolejno: biskup, zastępca sekretarza generalnego partii, sekretarz regionalny oraz, w imieniu własnym, minister Pellicano, który był przyjacielem zmarłego. Co najmniej dwutysięczny tłum czekał przed kościołem, żeby uczcić nieboszczyka serdecznymi i wzruszonymi brawami.

„Że serdecznymi, to rozumiem, ale żeby brawa się również wzruszały, słyszę po raz pierwszy w życiu” – pomyślał Montalbano.

Wyłączył radio i poszedł sprawdzić, czy klucz poruszy się w zamku. Udało mu się go przekręcić, ale furtka ani drgnęła. Dopiero kiedy podważył ją barkiem, uchyliła się na tyle, by dało się z trudem przecisnąć. Była zawalona gruzem, żelastwem, piachem – od razu wiadomo, że stróż, nie zachodził tu od lat. Komisarz zorientował się, że teren okalają dwa mury: zewnętrzny, z furtką wejściową, oraz, stare, walące się ogrodzenie, które chroniło fabrykę przed intruzami w czasach, gdy jeszcze pracowała. Przez wyłomy w tym drugim murze widać było zardzewiałe maszyny, wielkie rury, proste i skręcone, gigantyczne aparaty destylacyjne, popękane żelazne rusztowania, dziwacznie podwieszono konstrukcje, stalowe wieżyczki pochylone tak bardzo, że przeczyło to prawom fizyki. I wszędzie

wybebeszone podłogi, rozryte sufity. Rozległe pomieszczenia, niegdyś wsparte żelaznymi belkami, obecnie były popękane, gotowe runąć w dół, gdzie nie pozostało już nic oprócz warstwy popękanego cementu, z którego szczelin wynurzały się długie źdźbła pożółkłej trawy. Stojąc w korytarzu między obydwoma murami, Montalbano nie mógł wyjść ze zdumienia: o ile z zewnątrz fabryka mu się podobała, o tyle jej wnętrze wręcz go zachwycało. Żałował, że nie wziął ze sobą aparatu fotograficznego. Z zadumy wyrwał go ciągły dźwięk, wibrujący i donośny, który zdawał się rodzić w zabudowaniach fabryki.

„Co tam się dzieje?” – spytał siebie w duchu komisarz.

Postanowił udać się do samochodu i wyjąć broń ze schowka pod tablicą rozdzielczą. Prawie nigdy nie nosił przy sobie pistoletu, który zbyt mu ciążył, wypychając spodnie i marynarkę.

Kiedy Montalbano wrócił do fabryki, dźwięk nadal rozbrzmiewał. Przypominał brzęczenie, jakie niekiedy wydają przewody wysokiego napięcia, kiedy osiada na nich wilgoć, tyle że był bardziej zmienny i melodyjny. Czasami ustawał, żeby niebawem powrócić z nową modulacją. Plan, który narysował Saro, okazał się niezwykle dokładny, więc komisarz posługiwał się nim jak przewodnikiem. Szedł spięty, uważając, żeby nie potknąć się o kamienie i o żelastwo, które zaścierały wąski korytarz. Nagle przez szczelinę w wewnętrznym murze dostrzegł kątem oka mężczyznę krzątającego się po fabryce. Cofnął się – to oczywiste, że tamten też go zauważył. Nie było czasu do stracenia – nieznajomy na pewno miał współników. Montalbano rzucił się przed siebie, wyciągnął pistolet i krzyknął:

– Stać! Policja!

W ułamku sekundy zrozumiał, że intruz spodziewał się po nim tego ruchu – też stał wychylony do przodu, z pistoletem w dłoni. Montalbano strzelił,

rzucając się na ziemię, i zanim upadł, wystrzelił jeszcze dwa razy. Zamiast tego, czego się spodziewał, czyli huku wystrzału wymierzonego w odpowiedzi, jęku czy oddalającego się tupotu stóp, usłyszał jedynie brzęk stłuczonego szkła. Nagle wszystko zrozumiał i dostał tak silnego ataku śmiechu, że aż nie mógł stanąć na nogi. Strzelał do siebie samego, do własnego odbicia w wielkim lustrze, zaśniedziałym i brudnym.

„O tym nikt się nie może dowiedzieć – pomyślał. – Musiałbym napisać prośbę o zwolnienie i wylaliby mnie z policji jak nic”.

Pistolet, który trzymał w dłoni, od razu wydał mu się śmieszny, wcisnął go więc za pasek od spodni. Przeciągłe echo wystrzałów i trzask tłukącego się szkła całkowicie zagłuszyły dźwięk, który teraz znowu rozbrzmiewał, często zmieniając ton. Wreszcie komisarz zrozumiał. To wiatr. Każdego dnia, również latem, tłukł o ten skrawek plaży i zawsze wieczorem zamierał, jak gdyby nie chciał przeszkadzać Gege w interesach. Wciskając się między metalowe konstrukcje, między przewody, to zerwane, to jeszcze napięte, w kominy miejscami podziurawione jak fujarka, wygrywał swój lament w wymarłej fabryce. Montalbano przystanął jak zaczarowany, żeby posłuchać jego muzyki.

Zanim dotarł do punktu, który zaznaczył Saro, minęło prawie pół godziny. Raz po raz musiał się wspinać po zwaliskach gruzu. W końcu stwierdził, że jest dokładnie na wysokości miejsca, w którym śmieciarz, po drugiej stronie muru, znalazł naszyjnik.

Spokojnie zaczął się rozglądać. Gazety i strzępy pożółkłego na słońcu papieru, chwasty, butelki po coca-coli (puszki były za lekkie, żeby przelecieć nad murem), butelki po winie, rozbite metalowe taczki, kilka opon, żelastwo, jakiś nieokreślony przedmiot, przegniła belka. A obok niej skórzana torebka w kształcie worka, elegancka, nowusieńka, z podpisem stylisty. Nie pasowała do bałaganu, który panował dokoła. Montalbano ją otworzył. W

środku były tylko dwa spore kamienie, najwyraźniej włożone jako balast, by łatwiej można było przerzucić torbę przez mur. Przyjrzał się jej dokładnie. Metalowe inicjały właścicielki zostały oderwane, ale na skórze widniały jeszcze ich ślady: „I” oraz „S”. Ingrid Sjostrom.

„Podaję mi ją na srebrnej tacy” – pomyślał.

10

Pomysł, by przyjąć tak uprzejmie podaną tacę wraz z całą jej zawartością, przyszedł komisarzowi do głowy, gdy brał się do jedzenia obfitej porcji smażonej papryki, którą Adelina zostawiła w lodówce. Odszukał w książce numer telefonu Giacomina Cardamone. O tej porze Szwedka mogła być w domu.

– Sukam?

– Mówi Giovanni. Czy jest Ingrid?

– Ja prawdzić, ty czekać.

Próbował odgadnąć, z której części świata ta służąca przyfrunęła do domu rodziny Cardamone, ale nie potrafił wymyślić niczego sensownego.

– Cześć, wielka pało, jak się masz?

Głos był niski i ochrypły, zgodny z opisem Zita, komisarz jednak nawet w najmniejszym stopniu nie poddał się erotycznemu czarowi. Był zbity z tropu: ze wszystkich imion tego świata wybrał akurat to, którego właściciela Ingrid znała nawet z anatomicznej strony.

– No, co tak milczysz? Zasnąłeś ze słuchawką przy uchu? Dużo dziś posuwałeś, świntuszkę?

– Proszę pani...

Ingrid natychmiast wyciągnęła odpowiedni wniosek, nie okazując zdziwienia czy zażenowania.

– To nie Giovanni?

– Nie.

– A więc kto?

– Jestem komisarzem policji, nazywam się Montalbano.

Spodziewał się gorączkowych pytań, ale spotkał go zawód.

– A to ci dopiero! Policjant! Czego chcesz?

Nadal mówiła mu na ty, choć wiedziała, że ma do czynienia z nie znanym sobie człowiekiem. Montalbano pozostał przy formie oficjalnej.

– Chciałbym z panią porozmawiać.

– Po południu nie mogę, ale wieczorem jestem wolna.

– Dobrze, możemy się spotkać dziś wieczorem.

– Gdzie? Mam przyjść do ciebie do biura? Tylko podaj mi adres.

– Lepiej nie, wolę bardziej dyskretne miejsce.

Ingrid przez chwilę się nie odzywała.

– W twojej sypialni? – Jej głos zabarwił się irytacją. Wyraźnie zaczęła podejrzewać, że po drugiej stronie sznura siedzi jakiś cymbał, który próbuje ją poderwać.

– Proszę posłuchać. Ma pani prawo mi nie ufać, rozumiem to. Zróbmy w ten sposób: za godzinę będę u siebie w Vigacie. Proszę zadzwonić do komisariatu i poprosić mnie do telefonu. Dobrze?

Ingrid przez chwilę się wahała, wreszcie podjęła decyzję.

– Wierzę ci, policjancie. Gdzie i kiedy?

Uzgodnili miejsce – bar „Marinelli”. O dziesiątej, na którą się umówili, jest zawsze pusty. Montalbano poprosił, żeby nikomu nie wspominała o spotkaniu, nawet mężowi.

Willa rodziny Luparello wznosiła się przy wjeździe do Montelusy, od strony morza. Był to dziewiętnastowieczny masywny budynek, opasany

wysokim murem, pośrodku którego wyrastała brama z kutego żelaza, tego dnia otwarta na oścież. Wysadzaną drzewami aleją, przecinającą część ogrodu, Montalbano doszedł do przymkniętych drzwi wejściowych, z okazałą czarną wstęgą umocowaną na jednym ze skrzydeł. Wsunął głowę i tułów, żeby zobaczyć, co się dzieje wewnątrz. W przestronnym przedsionku stało około dwudziestu osób, które rozmawiały ściszonymi głosami, ze stosownym do okoliczności wyrazem twarzy. Pomyślał, że nie wypada się przeciskać: ktoś mógłby go rozpoznać i zacząć się zastanawiać nad przyczyną jego obecności. Obszedł więc willę, aż natrafił na tylne drzwi, które były zamknięte. Kilkakrotnie nacisnął guzik dzwonka, licząc na to, że ktoś się zjawi, żeby mu otworzyć.

– Pomylił pan drzwi. Wizyty kondolencyjne przyjmowane są od frontu. – Drobną bystrą pokojówka w czarnym fartuszk i czepku od razu uznała, że gość nie należy do kategorii dostawców.

– Nazywam się Montalbano, jestem komisarzem policji. Czy może pani zawiadomić kogoś z domowników o moim przybyciu?

– Czekają na pana, panie komisarzu.

Poprowadziła go długim korytarzem, otworzyła drzwi i zaprosiła gestem do środka. Montalbano znalazł się w przestronnej bibliotece z tysiącami uporządkowanych tomów, ustawionych rzędami na ogromnych półkach. W jednym rogu stało biurko, a w drugim, po przeciwległej stronie, urządzono wyrafinowany, elegancki salonik ze stolikiem i dwoma fotelami. Na ścianach wisiało tylko pięć obrazów: Montalbano ożywił się na ich widok, bez trudności rozpoznając autorów. Wieśniak Guttusa z lat czterdziestych, latyński krajobraz Mellego, rozbiórka domu Mafai, dwaj nadtybrzańscy wioślarze Donghiego, dziewczyna w kąpieli Fausta Pirandella. Wyśmienity gust, wybór świadczący o rzadkim znawstwie. Otworzyły się drzwi i pojawił się mniej więcej trzydziestoletni mężczyzna w czarnym krawacie, elegancki,

o jasnej twarzy.

– To ja dzwoniłem. Dziękuję, że pan przyszedł. Mamie naprawdę zależało na tym spotkaniu. Proszę mi wybaczyć, że sprawiłem kłopot – mówił bez dialektalnych naleciałości.

– Ależ nie szkodzi, to żaden kłopot. Tyle że nie wiem, w jaki sposób mógłbym pomóc pańskiej matce.

– Ja też mówiłem o tym mamie, ale ona nalegała. I nie chciała mi zdradzić powodów, dla których musiałem pana niepokoić.

Obejrzał sobie opuszki palców prawej dłoni, jak gdyby widział je po raz pierwszy, a jego głos nieco poweselał.

– Proszę o wyrozumiałość.

– Nie pojmuję.

– Proszę o wyrozumiałość dla mamy. Wiele przeżyła.

Ruszył w kierunku wyjścia, lecz nagle się zatrzymał.

– Ach, komisarzu, chcę pana o czymś uprzedzić, żeby nie znalazł się pan w kłopotliwej sytuacji. Mama wie, jak i gdzie umarł ojciec. Skąd – trudno mi orzec. Dowiedziała się o tym już dwie godziny po odnalezieniu zwłok. Za pozwoleniem.

Montalbano uspokoił się: Jeżeli wdowa o wszystkim wiedział nie musiał pleść pokrętnych bzdur, żeby ukryć nieprzyzwoite okoliczności śmierci jej męża. Zaczął na nowo oglądać obrazy. U siebie, w Vigacie, miał tylko rysunki i grafiki Carmassiego, Attardiego, Guidy, Cordia i Angela Canevari; kupił je, odkładając ze swojej skromnej pensji. Więcej zaoszczędzić już nie był w stanie i na dzieła tej klasy nigdy nie mógłby sobie pozwolić.

– Podobają się panu?

Odwrócił się gwałtownie. Nie zorientował się, że pani domu już weszła. Była to niewysoka kobieta, robiąca wrażenie stanowczej, po pięćdziesiątce.

Drobne zmarszczki, które przecinały twarz, nie odbierały jeszcze urody jej rysom, a wręcz akcentowały blask przenikliwych zielonych oczu.

– Proszę usiąść. – Wskazała komisarzowi jeden z foteli, sama siadając na kanapie. – To ładne obrazy. Ja nie znam się na malarstwie, ale te mi się podobają. W całym domu jest ich około trzydziestu. Kupił je mój mąż. Malarstwo, jak sam mówił, było jego cichą słabością. Niestety, nie jedyną.

„Nieźle się zaczyna” – pomyślał Montalbano.

– Czy już lepiej się pani czuje? – spytał.

– Lepiej niż kiedy?

Montalbano zdębiał. Miał wrażenie, że stoi przed nauczycielką, która odpytuje go z trudnej lekcji.

– No cóż, nie wiem, lepiej niż rano... Słyszałem, że w katedrze pani zasłabła.

– Zasłabłam? Czułam się dobrze, odpowiednio do sytuacji. Nie, drogi przyjacielu, udałam omdlenie. Nieźle to potrafię. Po prostu przyszło mi coś do głowy. Gdyby, pomyślałam, jakiś terroysta wysadził w powietrze kościół i wszystkich, którzy byli w środku, co najmniej jedna dziesiąta obłudy tego świata zniknęłaby razem z nami. I dlatego kazałam się wyprowadzić.

Montalbano nie wiedział, co na to odrzec. Zaskoczony szczerością, czekał, aż kobieta znów zacznie mówić.

– Kiedy pewna osoba wyjaśniła mi okoliczności śmierci mojego męża, zatelefonowałam do kwestora, żeby zapytać, kto prowadzi śledztwo i czy w ogóle jest prowadzone jakieś śledztwo. Kwestor wymienił wówczas pańskie nazwisko, zaznaczając, że jest pan uczciwym człowiekiem. Przyjęłam to z niedowierzaniem, bo czy są dziś jeszcze na świecie uczciwi ludzie? I dlatego poprosiłam o pański telefon.

– Serdecznie dziękuję.

– Nie chcę, żebyśmy prawili tu sobie grzeczności, nie chcę pana narażać na stratę czasu. Czy jest pan pewny, że to nie było morderstwo?

– Najzupełniej.

– A więc jakie ma pan wątpliwości?

– Wątpliwości?

– No tak, mój drogi, musi pan je mieć. Bo w jaki sposób można wytłumaczyć pańską niechęć do zamknięcia sprawy?

– Będę z panią szczery. Chodzi wyłącznie o wrażenia, wrażenia, na które właściwie nie powinienem sobie pozwolić. To znaczy: skoro zgon nastąpił z przyczyn naturalnych, powinienem wypełnić moje obowiązki. Jeżeli nie chce mi pani powiedzieć niczego nowego, jeszcze dzisiaj zadzwonię do prokuratora...

– Ale ja właśnie chcę panu powiedzieć coś nowego.

Montalbano zamilkł.

– Nie wiem – kontynuowała wdowa – jakie są te pańskie wrażenia, ale opowiem o moich. Silvio był z pewnością czujnym i ambitnym człowiekiem i jeśli przez tyle lat pozostawał w cieniu, to po to, żeby osiągnąć pewien cel, który precyzyjnie sobie nakreślił: wyjść na światło dzienne we właściwym momencie i już na zawsze pozostać na piedestale. Czy może pan zatem uwierzyć, że ten człowiek, który poświęcił tak wiele czasu na cierpliwe zabiegi i który osiągnął taką pozycję, pewnego pięknego wieczoru postanawia się udać z jakąś nieuczciwą kobietą w podejrzaną miejscę, gdzie każdy mógłby go rozpoznać, a potem szantażować?

– To jedna z głównych przyczyn moich wątpliwości.

– Czy chce pan, żeby stały się one jeszcze silniejsze? Powiedziałam, że poszedł z nieuczciwą kobietą, ale nie miałam na myśli ani prostytutki, ani

kobiety, której należałoby za to płacić. Trudno mi to wyjaśnić. Powiem tylko jedno: zaraz po ślubie Silvio wyznał mi, że nigdy w życiu nie skorzystał z usług prostytutki i nigdy nie odwiedził domu publicznego, nawet wtedy, gdy burdele były jeszcze legalne. Coś mu przeszkadzało. A zatem: jaka kobieta namówiła go na stosunek, i to w tak okropnym miejscu?

Montalbano też nigdy nie skorzystał z usług prostytutki i miał nadzieję, że nowe rewelacje dotyczące Luparella nie odkryją innych podobieństw między nim a człowiekiem, z którym nie chciałby zasiadać przy jednym stole.

– Otóż mój mążonek hojnie ulegał swoim słabościom, lecz nigdy nie objawiał pokusy samozniszczenia, ekstazy poniżenia, jak to ujął pewien francuski pisarz. Konsumował swoje amory potajemnie, w domku, który postawił, nie rejestrując go na swoje nazwisko, na samym krańcu cypla Massaria. Powiedział mi o tym ten sam miłosierny człowiek, który wprowadził mnie w szczegóły śmierci męża.

Wstała, podeszła do biurka, otworzyła szufladę i wróciła z dużą żółtą kopertą, dwoma kluczami na metalowym kółku i szkłem powiększającym. Klucze wręczyła komisarzowi.

– A propos, jeśli chodzi o klucze, to był prawdziwym maniakiem. Miał dwa komplety: jeden trzymał w tej szufladzie, drugi nosił zawsze przy sobie. I właśnie tego drugiego kompletu nie odnaleziono.

– Nie było ich w kieszeni inżyniera?

– Nie. Ani w jego pracowni. Szukaliśmy ich również w drugim biurze, tym, w którym zajmował się polityką. Zniknęły, ulotniły się.

– Może zgubił je po drodze. Nie jest powiedziane, że zostały skradzione.

– To niemożliwe. Widzi pan, mój mąż miał w jednym komplecie po sześć zestawów kluczy: do tego domu, do domu na wsi, do naszego domu nad morzem, do biura, do pracowni, do domku. Wszystkie przechowywał w

samochodzie, w schowku pod tablicą rozdzielczą. To stamtąd za każdym razem wyjmował potrzebne mu klucze.

– I w samochodzie też ich nie odnaleziono?

– Nie. Kazałam wymienić wszędzie zamki. Z wyjątkiem domku, o którego istnieniu oficjalnie nic nie wiem. Jeżeli ma pan ochotę, proszę tam zajrzeć. Na pewno pozostały jeszcze jakieś ślady, które rzucą nowe światło na jego amory.

Drugi raz użyła słowa „amory”.

Montalbano chciał ją w jakiś sposób pocieszyć.

– Co prawda moje dochodzenie nie dotyczyło flirtów inżyniera, lecz zbierałem jakieś informacje na ten temat i powiem szczerze, że udzielano mi bardzo ogólnikowych odpowiedzi, które mogłyby dotyczyć każdego.

Wdowa spojrzała na niego z bladym uśmiechem.

– A wie pan, że ja nigdy nie robiłam mu z tego powodu żadnych wyrzutów? Praktycznie dwa lata po narodzinach naszego syna mąż i ja przestaliśmy być partnerami. Mogłam zatem przyglądać mu się ze spokojem, bez emocji, przez trzydzieści lat, a widoku nie mąciły mi niepokoje zmysłów. Pan nie zrozumiał, proszę wybaczyć. Mówiąc o jego związkach, nie miałam zamiaru określać płci partnerów.

Montalbano usztywnił barki i głębiej osunął się w fotel. Poczuł się, jak gdyby dostał łomem w głowę.

– Wracając jednak do sprawy, która bardziej mnie interesuje – mówiła dalej wdowa – jestem przekonana, że chodzi o przestępstwo, niech pan pozwoli mi skończyć, nie o morderstwo, o eliminację fizyczną, lecz o przestępstwo polityczne. Do śmierci doprowadziła go skrajna przemoc.

– Czy może mi to pani wytłumaczyć?

– Jestem pewna, że mojego męża zmuszono siłą albo szantażem, żeby

udał się w to okropne miejsce, w którym go znaleziono. Przygotowali plan, ale nie zdążyli doprowadzić go do końca, ponieważ serce Silvia nie wytrzymało z powodu ciśnienia albo, dlaczegóż by nie, ze strachu. Czy pan wie, że on był ciężko chory? Przeszedł bardzo skomplikowaną operację.

– Ale w jaki sposób mogliby go zmusić?

– Nie wiem. A może pan zdoła się tego dowiedzieć? Prawdopodobnie zastawili na niego pułapkę. Nie mógł stawiać oporu. W tym hańbiącym miejscu zrobiliby mu pewnie zdjęcie, coś, co pozwoliłoby go zidentyfikować. Od tej chwili mieliby go w garści, tańczyłby tak, jak by mu zagrali.

– Oni, czyli kto?

– Jego polityczni wrogowie, jak myślę, albo któryś ze współników.

– Niestety, pani rozumowanie, a raczej pani przypuszczenie, ma wielką wadę: nie można go oprzeć na żadnych dowodach.

Wdowa otworzyła żółtą kopertę, którą cały czas trzymała w dłoni, i wyciągnęła z niej fotografię zwłok, wykonane na „pastwisku” przez sądówkę.

– Jezu – wymamrotał Montalbano i dreszcz mu przeszedł po plecach.

Patrząc na zdjęcia, wdowa nie wykazywała najmniejszego poruszenia.

– Skąd pani je ma?

– Od przyjaciół. A pan je widział?

– Nie.

– To niedobrze. – Wyciągnęła jedno zdjęcie i podała je Montalbanowi razem ze szkłem powiększającym. – Proszę spojrzeć. Spodnie są opuszczone i widać białe majtki.

Montalbano był zlany potem. Drażniła go własna konsternacja, ale nic nie mógł na nią poradzić.

– Nie widzę w tym niczego dziwnego.

– Nie? A wszystko na majtkach?

– Tak, widzę. A więc?

– Nie powinien pan jej widzieć. Majtki tej firmy... i jeśli pan chce się przekonać, w pokoju mojego męża jest jeszcze kilka par takich samych... mają wszystkie firmową z tyłu od środka. Jeżeli pan ją widzi tak jak tutaj, to znaczy, że majtki są włożone na drugą stronę. I proszę nie mówić, że Silvio sam włożył je właśnie w ten sposób i tego nie zauważył. Brał środki diuretyczne, był zmuszony chodzić do toalety wiele razy w ciągu dnia, więc miał niejedną okazję, żeby poprawić ubranie. A to, co tu widzimy, oznacza tylko jedno.

– Co? – spytał komisarz, poruszony jasną i bezwzględną analizą, przeprowadzoną bez jednej łzy, jak gdyby zmarły był kimś, kogo wdowa znała jedynie przelotnie.

– To, że był nagi w chwili, gdy go zaskoczono, i że został zmuszony, żeby pośpiesznie się ubrać. A mógł się rozebrać tylko w domku na cyplu Massaria. I dlatego dałam panu klucze. Powtarzam jeszcze raz: to czyn kryminalny, wymierzony w wizerunek mojego męża, przestępstwo, które powiodło się tylko w połowie. Chcieli zrobić z niego świnię i dać na pożarcie innym świniom, prędzej czy później. Byliby bardziej zadowoleni, gdyby nie umarł, bo wtedy szantażem mogliby uzyskać wszystko, co tylko by im przyszło do głowy. Jednak częściowo plan im się powiódł: ludzie mojego męża zostali odsunięci od kierownictwu, z wyjątkiem Rizza, który nie tylko się uratował, ale nawet na tym zyskał.

– Dlaczego?

– Tego już niech sam pan się dowie, o ile ma pan na to ochotę. Albo może się pan zadowolić kształtem, jaki nadali wodzie.

– Przepraszam, ale nie rozumiem.

– Ja nie jestem Sycylijką, urodziłam się w Grosseto. Przyjechałam do Montelusy, kiedy mój ojciec został tu prefektem. Posiadaliśmy kawałek ziemi i dom na zboczu Amiaty, spędzaliśmy tam wakacje. Miałam przyjaciela, syna rolników, który był młodszy ode mnie. Ja miałam chyba dziesięć lat. Pewnego dnia zobaczyłam, że mój przyjaciel postawił na krawędzi studni miskę, kubek, imbryk i czworokątną puszkę, wypełnił je wodą i uważnie się im przyglądał. „Co robisz?”, spytałam. A on odpowiedział mi pytaniem: „Jaki kształt ma woda?” „Ależ woda nie ma kształtu!”, wykrzyknęłam. „Przybiera kształt, który jej się nadaje”.

W tej chwili drzwi gabinetu otworzyły się i pojawił się anioł.

Anioł – inne określenie nie przychodziło Montalbanowi do głowy – miał około dwudziestu lat, był wysokim blondynem, mocno opalonym, o doskonałej budowie. Wyglądał jak efeb. Promień słońca jak rajfurka opromienił go już na progu, podkreślając apollińskie rysy twarzy.

– Czy mogę wejść, ciociu?

– Proszę, Giorgio, wejdź.

Młodzieniec zmierzał w kierunku kanapy, nie podlegając prawu ciężenia. Jego stopy niemal nie dotykały podłogi, lecz się po niej ślizgały, znacząc kręty, prawie spiralny tor, muskając przedmioty, które wydawały się do niego łąsić, a raczej nie muskając, lecz, delikatnie je pieszcząc. Montalbano dostrzegł spojrzenie, którym wdowa nakazała mu schować do kieszeni trzymaną w dłoniach fotografię. Zrobił, jak chciała. Ona również zręcznie wsunęła pozostałe zdjęcia do żółtej koperty, którą położyła obok siebie na kanapie. Kiedy chłopiec się przybliżył, komisarz zauważył, że jego błękitne oczy są przekrwione, opuchnięte od płaczu, podsiniące.

– Jak się czujesz, ciociu? – zapytał Giorgio niemal śpiewnym głosem, klęknął wytwornie obok wdowy i położył głowę na jej udach. Jak w świetle reflektora rozbłysło w pamięci Montalbana malowidło, które kiedyś widział, lecz nie pamiętał już gdzie: portret angielskiej damy z chartem, trwającym w tej samej pozycji, jaką przyjął właśnie młodzieniec.

– To jest Giorgio – powiedziała wdowa. – Giorgio Zicari, syn mojej siostry Elisy, która poślubiła Ernesta Zicari, profesora prawa karnego, być może pan o nim słyszał,.

Mówiąc to, przez cały czas głaskała chłopca po głowie. Giorgio wydawał się nie rozumieć słów, od razu było widać, że pogrążony jest w rozdzierającej rozpacz i nawet nie odwrócił głowy w kierunku komisarza. Zresztą wdowa wyraźnie nie miała ochoty wyjawiać siostrzeńcowi, kim jest Montalbano i co robi w jej domu.

– Czy dobrze dzisiaj spałeś?

W odpowiedzi Giorgio potrząsnął głową.

– A więc zrób teraz tak, jak ci powiem. Jest tu dzisiaj doktor Capuano: idź do niego, poproś, żeby ci przepisał jakiś silny środek nasenny, i połóż się.

Bez słowa, płynnie Giorgio wstał, przemknął nad podłogą swoim szczególnym, spiralnym krokiem i zniknął za drzwiami.

– Musi mu pan wybaczyć – powiedziała wdowa. – Giorgia bez wątplenia najbardziej dotknęła śmierć mojego męża i wciąż nie może się z niej otrząsnąć. Wie pan, ja zawsze chciałam, żeby mój syn studiował i doszedł do czegoś niezależnie od wpływów ojca, z dala od Sycylii. Łatwo się domyślić dlaczego. W konsekwencji, wobec nieobecności Stefana, mój mąż przelał całe uczucie na siostrzeńca. Ten zaś odwzajemnił mu się bałwochwalczą miłością, a nawet z nami zamieszkał ku wielkiemu strapieniu mojej siostry i jej męża, którzy poczuli się opuszczeni.

Wstała. Montalbano poszedł za jej przykładem.

– Powiedziała panu, komisarzu, wszystko, co uważałam za słuszne powiedzieć. Wiem, że przekazałam sprawę w uczciwe ręce. Kiedy tylko uzna to pan za wskazane, proszę kontaktować się ze mną o każdej porze dnia i nocy. Proszę mnie nie oszczędzać – jestem, jak to się mówi, typem mocnej kobiety. W każdym razie proszę działać zgodnie z sumieniem.

– Mam jeszcze jedno pytanie, które od jakiegoś czasu nie daje mi spokoju. Dlaczego nie zawiadomiła pani, że jej mąż nie wrócił...? Powiem wprost: nie

zaniepokoiło to pani, że mąż nie wrócił tamtej nocy do domu? Czy zdarzało mu się to już w przeszłości?

– Owszem, zdarzało się. Ale tym razem, w niedzielę wieczorem, zadzwonił do mnie.

– Skąd?

– Nie umiem panu powiedzieć. Mówił, że wróci bardzo późno. Miał jakieś ważne zebranie, uprzedził, że może nawet spędzi noc poza domem.

Wyciągnęła rękę, a komisarz bezwolnie ujął jej dłoń oburącz i pocałował.

Kiedy wyszedł z willi, korzystając ponownie z drzwi służbowych, ujrzał Giorgia, który siedział niedaleko, skulony na kamiennej ławce. Wstrząsały nim silne spazmy.

Kiedy Montalbano, wiedziony troską, podszedł do niego, dłonie młodzieńca rozchyliły się, a spomiędzy nich wypadła żółta koperta, z której wysypały się fotografie. Nieposkromiona ciekawość najwyraźniej sprawiła, że przywłaszczył je sobie, wtulając twarz w kolana ciotki.

– Czy trzeba panu pomóc?

– Nie w ten sposób. Boże, nie w ten sposób!

Giorgio mówił bełkotliwie, jego oczy były jak ze szkła. Można by pomyśleć, że nawet nie zauważył obecności komisarza. To trwało chwilę, potem zeszytniał i runął do tyłu z pozbawionej oparcia ławki. Montalbano uklęknął przy nim, próbując unieruchomić jego ciało, którym wstrząsały potężne dreszcze. Z kącików ust młodzieńca pociekła biała ślina.

W drzwiach willi pojawił się Stefano Luparello, zobaczył, co się dzieje, i rzucił się z pomocą.

– Szukałem pana, żeby się pożegnać. Co się stało?

– Chyba atak epilepsji.

Zadbali o to, żeby Giorgio nic odgryzł sobie języka i nie uderzył się mocno w głowę. Wreszcie chłopak się uspokoił; dreszcze, które przenikały jego ciało, złagodniały.

– Zanieśmy go do środka – powiedział inżynier.

Pokojówka, ta sama, która wpuściła komisarza do domu, nadbiegła na pierwsze wezwanie.

– Lepiej, żeby mama nie widziała go w takim stanie.

– Chodźmy do mnie – powiedziała dziewczyna.

Z wysiłkiem nieśli go wzdłuż korytarza, innego niż ten, którym prowadzono komisarza wcześniej. Montalbano podtrzymywał Giorgia pod pachami, Stefano go trzymał za nogi. Kiedy doszli do skrzydła przeznaczonego dla służby, pokojówka otworzyła jakieś drzwi. Ciężko dysząc, położyli chłopca na łóżku. Giorgio wydawał się pogrążony w głębokim śnie.

– Pomóżcie mi go rozebrać – powiedział Stefano.

Dopiero kiedy chłopak pozostał w bokserkach i podkoszulku, Montalbano zauważył, że od podstawy szyi aż do podbródka jego skóra jest śnieżnobiała, przezroczysta, w przeciwieństwie do twarzy i klatki piersiowej, mocno pociemniałych od słońca.

– Czy wie pan, dlaczego w tym miejscu nie jest opalony? – spytał.

– Nie wiem – odpowiedział inżynier. – Wróciłem do Montelusy dopiero w poniedziałek wieczorem po kilku miesiącach nieobecności.

– Ja wiem – odezwała się pokojówka – panicz miał wypadek samochodowy i dopiero jakiś tydzień temu przestał nosić kołnierz.

– Kiedy już dojdzie do siebie i będzie w stanie jasno myśleć – powiedział Montalbano do Stefana – proszę mu przekazać, żeby jutro około dziesiątej

rano wpadł do mnie do biura, do Vigaty.

Wrócił do ławki, podniósł z ziemi kopertę i fotografie, które uszły uwagi Stefana, i schował je do kieszeni.

Zakręt w kierunku Sanfilippo był zaledwie około stu metrów od cypla, lecz komisarz nie zdołał dostrzec domku, który musiał się wznosić na samym wierzchołku – przynajmniej tak wynikało ze słów pani Luparello. Zapуścił silnik i sunął powoli przed siebie. Kiedy znalazł się dokładnie na wysokości cypla, pomiędzy gęstymi i niskimi drzewami zauważył odchodzącą od szosy uliczkę. Wjechał w nią i po chwili zobaczył alejkę, a w głębi furtkę. Była jedynym otworem w kamiennym murze, który całkowicie odgradzał tę część cypla, spadziście zawieszoną nad morzem. Klucze pasowały do zamka. Montalbano pozostawił samochód na zewnątrz i pomaszerował ogrodową ścieżką wyłożoną tufowymi blokami. Dotarł nią do niewielkich schodków, również z tufu, które prowadziły do czegoś w rodzaju podestu. Nad nim dopiero były drzwi do domu, niewidoczne z dołu, ponieważ całość zaprojektowano na kształt orlego gniazda, jak niektóre górskie schroniska wydrążone w skale.

Znalazł się w przestronnym salonie, który wydawał się wręcz zawieszony nad morzem, a wielka tafla szyby, niemal na całą ścianę, potęgowała wrażenie, że pokój urządzono na mostku kapitańskim. W środku panował idealny porządek. Stół z czterema krzesłami stał w kącie, natomiast kanapa i dwa fotele były zwrócone przodem do okna. Pasował do nich stuletni kredens, wypełniony kieliszkami, talerzami oraz butelkami z winem i nalewkami. Nie brakowało również telewizora z odtwarzaczem wideo, na niskim stoliku stały rzędem kasety, nie tylko z filmami porno. Z salonu wychodziło troje drzwi. Pierwsze z nich prowadziły do lśniącej czystością kuchenki: jej półki ugiwały się od żywności, w lodówce natomiast nie było

nic oprócz kilku butelek szampana i wódki. Przestronna łazienka pachniała lizoformem. Na komódce pod lustrem leżała maszynka elektryczna, stały dezodoranty i butelka wody kolońskiej. W sypialni, której szerokie okno również wychodziło na morze, znajdowała się trzydrzwiowa szafa, łóżko małżeńskie przykryte wy krochmalonymi prześcieradłami i dwie szafki. Na ścianie nad łóżkiem wisiał rysunek Emilia Greco – zmysłowy akt.

Montalbano wysunął szufladę komódki, na której stał telefon. Trzy prezerwatywy, długopis, notatnik o gładkich kartkach. Wzdrygnął się na widok naładowanego pistoletu kalibru 7.65. Druga komódka była pusta. Otworzył lewe skrzydło szafy: w środku wisały dwa garnitury. W szufladzie na górze leżała koszula, trzy pary majtek, chusteczki i podkoszulek. Obejrzał majtki – wdowa miała rację, znak firmowy przyszyty był z tyłu od wewnątrz. Niższą szufladę zajmowały mokasyny i pantofle. Środkowe drzwi szafy w całości pokrywało lustro, w którym odbijało się łóżko. Tę część przedzielały trzy półki: na najwyższej i środkowej piętrzyły się w nieładzie kapelusze, włoskie i zagraniczne pisma o charakterze pornograficznym, wibrator, zapasowe prześcieradła i poszwy. Na najniższej półce stały trzy kobiece peruki na wspornikach – ciemna, jasna i ruda. Być może spełniały jakąś funkcję w erotycznych grach inżyniera. Kiedy komisarz otworzył prawe skrzydło, zaskoczył go widok dwóch bardzo eleganckich sukienek na wieszakach. Były tam również dwie pary dżinsów i kilka koszul. W jednej szufladzie znalazł niewielkich rozmiarów majtki, bez biustonosza. Druga okazała się pusta. Pochylając się, żeby dokładniej zbadać zawartość szuflad, Montalbano zrozumiał, że zaskoczył go nie tyle widok kobiecych ubrań, ile zapach, który się z nich unosił: ten sam, który poczuł, tylko mniej wyraźnie, w starej fabryce, kiedy otworzył torbę.

Zobaczył już wszystko i jedynie z gorliwości sprawdził jeszcze podłogę pod meblami. Wokół tylnej nogi łóżka owinięty był krawat. Podniósł go i

przypomniawszy sobie, że Luparello miał rozpięty górny guzik koszuli. Wyjął zdjęcia z kieszeni i stwierdził, że krawat doskonale harmonizowałby z garniturem, który inżynier miał na sobie w chwili śmierci.

Kiedy wrócił do komisariatu, Germana i Galluzzo byli poruszeni.

– A brygadier?

– Fazio razem z pozostałymi jest na stacji benzynowej przy drodze do Marinelli. Była strzelanina.

– Jadę. Czy jest coś dla mnie?

– Tak, przesyłka od doktora Jacomuzziego.

Otworzył: to był naszyjnik. Zawinał go z powrotem.

– Germana, ze mną. Jedziemy na stację benzynową. Tam mnie zostawisz, a potem udasz się moim samochodem do Montelusy. Po drodze ci powiem, co masz dalej robić.

Wszedł do swojego pokoju, zadzwonił do mecenasa Rizzo. Poinformował go, że naszyjnik jest już w drodze, i przypomniał, żeby wręczył policjantowi czek na dziesięć milionów.

Kiedy jechali na miejsce strzelaniny, komisarz wbijał do głowy German, że nie może wręczyć Rizzowi przesyłki, dopóki nie dostanie od niego cheku. i że musi zawieźć ten czek na adres Sara Montaperto oraz powiedzieć mu, żeby zrealizował go zaraz po otwarciu banku, nazajutrz o ósmej rano. Nie potrafił sobie tego wytłumaczyć – i strasznie go to irytowało – ale czuł, że sprawa Luparella szybko zmierza do końca.

– Mam potem wrócić po pana na stację?

– Nie, zostań w komisariacie. Skorzystam ze służbowego wozu.

Samochód policyjny i prywatne auto tarasowały wjazd na stację. Kiedy

komisarz wysiadł i odesłał Germana, owiała go silna woń benzyny.

– Proszę uważać na nogi! – krzyknął Fazio.

Na ziemi utworzyła się wielka kałuża benzyny, której smród przyprawiał o mdłości i lekko oszałamiał. Przy dystrybutorze stał samochód z tablicą rejestracyjną Palermo. Miał roztrzaskaną przednią szybę.

– Kierowca jest ranny – powiedział brygadier. – Zabrała go karetka.

– Coś poważnego?

– Nie, jakieś głupstwo. Ale wystraszył się mocno.

– Co dokładnie się stało?

– Może porozmawia pan bezpośrednio z właścicielem stacji.

Mężczyzna odpowiadał na pytania tak wysokim głosem, że Montalbano miał wrażenie, jak gdyby ktoś przesuwiał paznokciem po szkle. Sprawy potoczyły się mniej więcej tak: podjechał samochód, kierowca, który był sam, poprosił o zatankowanie do pełna, właściciel włożył kolbę do wlewu i zostawił ją w środku, blokując wyłącznik, ponieważ tymczasem nadjechał następny wóz, którego kierowca zażyczył sobie benzyny za trzydzieści tysięcy lirów i poprosił o sprawdzenie oleju. Właściciel już miał obsłużyć drugiego klienta, kiedy od strony szosy ktoś puścił serię z karabinu maszynowego; jakiś samochód raptownie przyspieszył i zniknął wśród innych pojazdów. Kierowca pierwszego auta natychmiast ruszył w pościg, kolba wysunęła się z baku i w dalszym ciągu lała się z niej benzyna. Mężczyzna z drugiego wozu rozwrzeszczał się wniebogłosy, gdyż kula drasnęła go w bark. Po chwili paniki, kiedy już właściciel stacji zdał sobie sprawę, że niebezpieczeństwo minęło, podbiegł do rannego, a z dystrybutora benzyna nadal lała się na ziemię.

– Czy widziałeś twarz pierwszego mężczyzny, tego, który ruszył w pościg?

– Nie, panie komisarzu.

– Czy jesteś tego pewny?

– Jak Boga kocham.

Tymczasem nadjechała straż pożarna, którą wezwał Fazio.

– Zróbmy w ten sposób – powiedział Montalbano do brygadiera. – Kiedy strażacy skończą pracę, zabierz ze sobą właściciela stacji, który na pewno nie powiedział mi całej prawdy, i przywieź go do komisariatu. Weź faceta w obroty. Na pewno wie, kim był mężczyzna, do którego strzelano.

– Ja też tak myślę.

– To pewnie zbir z rodziny Cuffaro. W tym miesiącu chyba kolej na jednego z nich. Założymy się, Fazio?

– Chce mnie pan okraść? – zaśmiał się brygadier – Przecież to od razu wiadomo!

– Tymczasem.

– Dokąd pan jedzie? Może podwieźć pana samochodem służbowym?

– Idę do domu, muszę się przebrać. Stąd to jakieś dwadzieścia minut piechotą. Trochę świeżego powietrza dobrze mi zrobi.

Nie chciał pójść na spotkanie z Ingrid Sjostrom ubrany jak pęta.

12

Prosto spod prysznic, nagi i mokry, pobiegł do pokoju i od razu usiadł przed telewizorem. Pokazywali migawki z porannego nabożeństwa. Operator dobrze wiedział, że jedynymi osobami, które mogły przydać nieco dramaturgii temu wydarzeniu, równie nudnemu jak wszystkie oficjalne uroczystości, byli wdowa, syn Stefano i siostrzeniec Giorgio. Pani Luparello raz po raz poruszała nerwowo głową, jak gdyby czemuś zaprzeczała, co komentator, głosem stłumionym i pełnym współczucia, zinterpretował jako ewidentny znak, że kobieta nie jest w sumie pogodzić się z faktem, nie chce przyjąć do wiadomości realizmu śmierci. Lecz kiedy operator wyłapywał jej wzrok, Montalbano odnalazł w nim potwierdzenie tego, co wdowa już mu wyznała: w tych oczach była tylko pogarda i znużenie. Obok niej siedział syn, „skamieniały z bólu”, jak mówił komentator. Młody inżynier wyglądał tak tylko dlatego, że wykazywał spokój, który graniczył z obojętnością. Giorgio natomiast kołysał się jak drzewo na wietrze. Był bladoszyn, ledwo się trzymał na nogach, a w dłoniach miętosił chusteczkę mokrą od łez.

Kiedy rozległ się dzwonek telefonu, Montalbano podniósł słuchawkę, nie odrywając oczu od ekranu.

– To ja, Germana. Wszystko w porządku. Mecenas Rizzo dziękuje i mówi, że znajdzie sposób, żeby spłacić panu dług wdzięczności.

O tym, jak mecenas potrafi spłacić dług, mówiło się czasem w okolicy i jego wierzyciele chętnie zrezygnowaliby z takiej spłaty.

– Następnie zawiozłem czek Sarowi i jego żonie. Musiałem im go wciskać, nie wierzyli, myśleli, że to jakiś głupi dowcip, a potem zaczęli

całować mi ręce. Oszczędzę panu tego wszystkiego, czym według nich Bóg powinien pana obdarzyć. Samochód jest w komisariacie. Mogę go tu panu odwieźć.

Komisarz spojrział na zegarek: z Ingrid miał się spotkać dopiero za godzinę z okładem.

– Dobrze, ale bez pośpiechu. Wystarczy, że będziesz u mnie o wpół do dziesiątej. Potem odwiozę cię do miasta.

Nie chciał przeoczyć udawanego omdlenia: czuł się jak widz, któremu prestidigitator wyjawiał tajemnicę sztuczki i który bawi się teraz nie efektem zaskoczenia, ale obserwowaniem zręcznej gry. Moment ten przeoczył jednak kamerzysta, który nie zdążył uchwycić omdlenia. Choć szybko przerzucił plan z ministra na członków rodziny, Stefano i dwaj ochotnicy wynosili już wdowę. Tylko Giorgio pozostał na swoim miejscu, wciąż chwiejąc się na nogach.

Zamiast zostawić podwładnego przed komisariatem i odjechać, Montalbano wysiadł razem z nim, żeby spotkać się z Faziem. Brygadier wrócił właśnie z Montelusy, gdzie rozmawiał z rannym, który wreszcie odzyskał równowagę. Okazał się akwizytorem sprzętu gospodarstwa domowego z Mediolanu; raz na trzy miesiące przylatywał samolotem do Palermo, wynajmował samochód i ruszał w trasę. Kiedy zatrzymał się na stacji, wyciągnął kartkę z adresem następnego sklepu, który miał odwiedzić. Nagle usłyszał wystrzały i poczuł ostry ból w barku. Fazio mu wierzył.

– Komisarzu, kiedy ten facet wróci do Mediolanu, przyłączy się do zwolenników odłączenia Sycylii od Północy.

– A właściciel stacji?

– Ten to co innego. Przepytuje go Giallombardo, pan wie, jaki on jest: ludzie rozmawiają z nim, jak gdyby go znali od stu lat, a potem łapią się na

tym, że wyjawili mu właśnie tajemnicę, którą zataili nawet na spowiedzi.

Światła były zgaszone, szklane drzwi wejściowe zaryglowane: Montalbano musiał wybrać akurat ten jedyny dzień tygodnia, kiedy bar „Marinella” jest zamknięty. Zaparkował samochód i czekał. Po kilku minutach nadjechał czerwony kabriolet, płaski jak flądra. Ingrid otworzyła drzwiczki i wysiadła. Nawet w nikłym świetle ulicznej lampy komisarz zdołał zauważyć, że wygląda lepiej, niż ją sobie wyobrażał. Miała na sobie obcisłe dzinsy, które przylegały do długich nóg, białą bluzkę z głębokim dekoltem i podwiniętymi rękawami oraz sandały. Była uczesana w kok: prawdziwa dziewczyna z okładki. Rozejrzała się, zobaczyła, że w barze jest ciemno, i automatycznie, pewnym krokiem ruszyła w kierunku samochodu komisarza. Pochyliła się do otwartego okna.

– Widzisz, że miałam rację? I dokąd teraz pójdziemy? Do ciebie?

– Nie – odwarknął Montalbano. – Wsiadaj.

Kobieta posłuchała polecenia i natychmiast samochód wypełnił się zapachem, który komisarz dobrze już znał.

– Dokąd jedziemy? – zapytała ponownie. Tym razem już nie żartowała: jak przystało na kobietę z klasą, wyczuła nerwowość rozmówcy.

– Czy ma pani dużo czasu?

– Bez ograniczeń.

– Pojedziemy w miejsce, w którym będzie się pani dobrze czuła, ponieważ już tam pani była.

– A mój samochód?

– Odwiozę tu panią później.

Ruszyli i po kilku minutach milczenia Ingrid zadała pytanie, które powinna była zadać na samym początku.

– Dlaczego chciałeś się ze mną spotkać?

Komisarz rozważał właśnie myśl, która przysłała mu do głowy, kiedy mówił Szwedce, by wsiadła do jego samochodu. Był to pomysł godny gliniarza, ale przecież on jest gliniarzem.

– Poprosiłem o spotkanie, ponieważ chcę pani zadać kilka pytań.

– Posłuchaj, komisarzu, ja jestem na ty ze wszystkimi. Kiedy mówisz mi „pani”, to mnie peszysz. Jak masz na imię?

– Salvo. Czy mecenas Rizzo powiedział ci, że znaleźliśmy naszyjnik?

– Jaki?

– Jak to „jaki”? Ten z sercem z diamentów.

– Nie, nie powiedział. A poza tym ja nie utrzymuję z nim kontaktów. Powiadomił pewnie mojego męża.

– Ogromnie jestem ciekaw, czy często się zdarza, że gubisz i odnajdujesz klejnoty.

– Nie rozumiem.

– Jak to: ja ci mówię, że znaleźliśmy twój naszyjnik wart sto milionów, a ty przyjmujesz to bez zmrużenia oka?

Ingrid zaśmiała się gardłowo, była zmieszana.

– Problem w tym, że nie lubię błyskotek. Sam zobacz. – Pokazała dłonie.

– Nie noszę pierścionków, nawet obrączki.

– Gdzie go zgubiłaś? Ingrid milczała przez dłuższą chwilę. „Powtarza sobie lekcję” – pomyślał Montalbano. Wreszcie zaczęła mówić jak automat. To, że była cudzoziemka, nie pomagało jej kłamać.

– Chciałam zobaczyć to „pawtwisko”...

– „Pastwisko” poprawił Montalbano.

– ...o którym wiele słyszałam. Namówiłam męża, żeby mnie tam zabrał.

Kiedy dojechaliśmy, wysiadłam, by się przejść, zostałam napadnięta, przestraszyłam się, że mój mąż rozpęta awanturę. Odjechaliśmy. W domu zauważyłam, że nie mam już naszyjnika.

– A jak to się stało, że tego dnia go włożyłaś, choć nie lubisz klejnotów? Chyba nie bardzo pasuje do „pastwiska”?

Ingrid zawahała się.

– Włożyłam, ponieważ po południu byłam umówiona i z przyjaciółką, która go chciała zobaczyć.

– Posłuchaj – powiedział Montalbano. – Widzę, że nie obejdzie się bez małego wstępu. Rozmawiam z tobą cały czas jako komisarz, ale nieformalnie, rozumiesz?

– Nie. Co to znaczy „nieformalnie”? Nie czuję tego słowa.

– To znaczy, że wszystko, co mi powiesz, pozostanie między tobą i mną. Dlaczego twój mąż wziął sobie na adwokata właśnie Rizza?

– A nie powinien?

– Nie, przynajmniej logicznie biorąc. Rizzo był prawą ręką inżyniera Luparello, czyli największego wroga politycznego twojego teścia. A propos, czy znałaś Luparella?

– Z widzenia. Rizzo jest adwokatem Giacomina od wielu lat. A ja się w ogóle nie znam na polityce. – Przeciągnęła się, odchylając łopatki do tyłu. – Nudzę się. Szkoda. Myślałam, że spotkanie z policjantem będzie bardziej ekscytujące. Czy możesz mi powiedzieć, dokąd jedziemy? Czy to jeszcze daleko?

– Prawie dojechaliśmy – odparł Montalbano.

Kiedy tylko minęli zakręt do Sanfilippo, kobieta stała się nerwowa, parę razy spojrzała kątem oka na komisarza i wymamrotała:

– Przecież tu w okolicy nie ma żadnych knajp.

– Wiem – przytaknął Montalbano i zwalniając, wziął do ręki skórzany worek, który leżał za siedzeniem Ingrid. – Chcę ci coś pokazać.

Położył torebkę na jej kolanach. Kobieta spojrzała na nią, zaskoczona.

– Skąd ją wzięłeś?

– To twoje?

– Pewnie, że moje. Popatrz, tu są moje inicjały.

Kiedy nic znalazła liter, jeszcze bardziej straciła rezon.

– Pewnie odpadły – powiedziała cicho, bez przekonania. Gubiła się w labiryncie pytań bez odpowiedzi i stawało się oczywiste, że coś zaczyna ją niepokoić.

– Twoje inicjały wciąż tam są. Nie widzisz ich, ponieważ jest ciemno. Ktoś je oderwał, ale został ślad na skórze.

– Ale kto je oderwał? I dlaczego?

W jej głosie coraz wyraźniej wyczuwało się napięcie. Komisarz nie odpowiedział, choć doskonale rozumiał, dlaczego oderwano inicjały: właśnie dlatego, żeby pomyślał, że Ingrid sama chciała je usunąć. Dotarli do uliczki, która prowadziła na cypel Massaria, i Montalbano, który przyspieszył, jak gdyby chciał jechać prosto, gwałtownie w nią skręcił. W mgnieniu oka, bez słowa, Ingrid otworzyła drzwi, zgrabnie wymknęła się z jadącego samochodu i zaczęła uciekać między drzewami.

Klnąc, komisarz zahamował, wyskoczył i rzucił się w pogoń. Po kilku chwilach zdał sobie sprawę, że nigdy jej nie doścignie, więc zatrzymał się, nie wiedząc, co robić. Wtedy zobaczył, że upadła na ziemię i nie może się podnieść. Kiedy do niej podbiegł, urwała swój krótki monolog po szwedzku, który bez wątplenia wyrażał strach i wściekłość.

– Spierdalaj! – wrzasnęła, masując sobie prawą kostkę.

– Wstawaj i przestań się wygłupiać.

Z trudem podciągnęła się na ramieniu Montalbana, który pozostał nieruchomy i nawet nie podał jej ręki.

Furtka otworzyła się bez trudu, lecz drzwi wejściowe stawiały opór.

– Ja to zrobię – powiedziała Ingrid. Przyszła za nim bez cienia protestu, wyraźnie przybita. A jednak przygotowała plan samoobrony. – I tak nic tu nie znajdziesz – powiedziała na progu prowokacyjnym tonem.

Włączyła światło, pewna siebie, ale na widok mebli, kaset wideo, doskonale urządzonego pokoju wzdrygnęła się z wyraźnym zdziwieniem, a na jej czole zarysowała się zmarszczka.

– Powiedzieli mi...

Natychmiast ugryzła się w język. Wzruszyła ramionami i spojrzała na Montalbana, czekając na jego ruch.

– Do sypialni – nakazał komisarz.

Ingrid otworzyła usta. Już miała powiedzieć nazbyt łatwą złośliwość, lecz straciła odwagę, odwróciła się do niego plecami i kulejąc, przeszła do drugiego pokoju. Włączyła światło. Tym razem nie okazała najmniejszego zdziwienia, spodziewała się, że wszystko będzie w największym porządku. Usiadła na krawędzi łóżka. Montalbano otworzył lewe skrzydło szafy.

– Czy wiesz, do kogo należą te garnitury?

– Powinny należeć do Silvia, inżyniera Luparello.

Otworzył środkowe drzwi.

– Czy to twoje peruki?

– Nigdy nie miałam na głowie żadnej peruki.

Kiedy otworzył prawe skrzydło, Ingrid zamknęła oczy.

– Patrz tutaj, w ten sposób sobie nie pomożesz. To twoje ubrania?

– Tak, ale...

– ...ale nie powinno ich tu być – dokończył za nią Montalbano.

Ingrid się wzdrygnęła.

– Skąd wiesz? Kto ci to powiedział?

– Nikt, sam na to wpadłem. Przecież jestem policjantem. Torba też przedtem tu była?

Ingrid potwierdziła ruchem głowy.

– A gdzie był naszyjnik, który podobno zgubiłaś?

– W torbie. Musiałam go włożyć tylko raz, a potem przyniosłam tutaj i zostawiłam.

Milczała przez dłuższą chwilę, następnie spojrzała komisarzowi głęboko w oczy.

– Co to wszystko znaczy?

– Wróćmy do tamtego pokoju.

Wzięła z kredensu szklanekę, napełniła ją do połowy whisky, wypiała niemal jednym haustem i jeszcze raz nalała sobie taką samą porcję.

– Tobie też?

Montalbano odmówił i usiadł na kanapie. Patrzył na morze – światło padało nisko, więc za szybą widać było fale. Ingrid podeszła i usiadła obok niego.

– Patrzyłam stąd na morze w lepszych sytuacjach.

Osunęła się lekko w głąb kanapy i oparła głowę na ramieniu komisarza, który nie zareagował: od razu było widać, że nie jest to próba uwiedzenia.

– Ingrid, czy pamiętasz, co ci powiedziałem w samochodzie? Że nasza rozmowa ma nieformalny charakter.

– Tak.

– Odpowiedz mi szczerze. Czy to ty przyniosłaś sukienki, które są w szafie, czy ktoś inny je tu powiesił?

– Ja, mogły być mi potrzebne.

– Byłaś kochanką Luparella?

– Nie.

– Jak to „nie”? Czujesz się tutaj jak u siebie.

– Z Luparellem poszłam do łóżka tylko raz, pół roku po przyjeździe do Montelusy. Potem ani razu. Zrobiliśmy to właśnie tutaj. Ale potem zostaliśmy przyjaciółmi, prawdziwymi przyjaciółmi, co nigdy, nawet w moim kraju, nie zdarzyło mi się z mężczyzną. Mogłam powiedzieć mu wszystko, dosłownie wszystko. Kiedy wpadałam w kłopoty, wyciągał mnie z nich bez zbędnych pytań.

– Chcesz, żebym uwierzył, że ten jeden raz, kiedy tu przyjechałaś, przywiozłaś ze sobą sukienki, dzinsy, majtki, torebkę i naszyjnik?

Ingrid odsunęła się od niego, zirytowana.

– Możesz sobie nie wierzyć. Po prostu mówię, jak było. Po jakimś czasie spytałam Silvia, czy mogę czasami korzystać z tego domu, a on się zgodził. Poprosił mnie tylko o jedno: żebym zachowała dyskrecję i nie mówiła nikomu, do kogo dom należy.

– Kiedy chciałaś tu przyjechać, skąd wiedziałaś, że mieszkanie jest wolne i do twojej dyspozycji?

Uzgodniliśmy kod sygnałów telefonicznych. Dotrzymałam umowy, jaką zawarliśmy z Silviem: przyjeżdżałam tu tylko z jednym mężczyzną, zawsze tym samym. – Pociągnęła duży łyk, wydawała się przygarbiona. – Z mężczyzną, który od dwóch lat chciał wdrzeć się siłą w moje życie. Bo ja już po tym tego nie chciałam.

– Po czym?

– Po pierwszym razie. Sytuacja mnie przerażała. Ale on był... jak zaślepiiony, ma, jak to się mówi, obsesję na moim punkcie. Tylko fizyczną. Chce, żebyśmy się spotykali codziennie. Potem, kiedy jesteśmy tutaj, rzuca się na mnie, staje się gwałtowny, rwie mi ubranie. To dlatego mam w szafie zapasowe sukienki.

– Czy ten mężczyzna wie, do kogo należy dom?

– Nigdy mu nie mówiłam, a poza tym on nigdy o to nie pytał. Widzisz, on nie jest zazdrosny, tylko po prostu mnie pożąda. Bez przerwy ma na mnie ochotę, w każdej chwili jest gotowy być ze mną.

– Rozumiem. A Luparello wiedział, kto tu z tobą przyjeżdża?

– Miałam z nim taki sam układ jak z tamtym: on mnie o to nigdy nie pytał i ja mu tego nigdy nie mówiłam.

Ingrid wstała.

– Nie możemy pójść gdzie indziej? To miejsce mnie przygnębia. Masz żonę?

– Nie – odpowiedział Montalbano, zaskoczony.

– Pojedźmy do ciebie. – Uśmiechnęła się smutno. – A nie mówiłam, że to się tak skończy?

13

Nie mieli ochoty rozmawiać, więc przez jakiś kwadrans siedzieli w milczeniu. Komisarz jednak raz jeszcze uległ swojej naturze gliniarza. Dotarłszy do wjazdu na most, który wznosił się nad Canneto, zjechał na pobocze, zahamował, wysiadł i kazał Ingrid zrobić to samo. Z mostu pokazał jej suche łożysko rzeki, które rysowało się w świetle księżyca.

– Spójrz – powiedział. – Koryto rzeki prowadzi prosto do morza. Jest bardzo strome. Pełno tu kamieni i głazów. Czy byłabyś w stanie przejechać tędy samochodem?

Ingrid przyjrzała się pierwszemu odcinkowi, którego raczej się domyślała, niż była w stanie zobaczyć.

– Nie wiem. Gdyby był dzień, to co innego. W każdym razie mogę spróbować, jeśli chcesz. Spojrzała na komisarza półprzymkniętymi oczami, z uśmiechem. – Zebrałeś o mnie dokładne informacje, no nie? A więc co mam zrobić?

– Właśnie to – powiedział Montalbano.

– Dobrze. Zaczekaj tu na mnie.

Wsiadła do samochodu i ruszyła. Już po kilku sekundach Montalbano stracił z oczu światła.

– No, to do widzenia. Wystawiła mnie do wiatru – westchnął z rezygnacją.

Szykował się już do długiego marszu w kierunku Vigaty, kiedy usłyszał warkot powracającego samochodu.

– Może mi się uda. Masz latarkę?

– Jest w schowku.

Uklękła, oświetliła spód samochodu i wyprostowała się.

– Czy masz jakiś bandaż?

Montalbano dał jej chusteczkę, którą Ingrid zacisnęła sobie na bolącej kostce.

– Wsiadaj.

Na wstecznym biegu dojechała do początku szutrowej drogi, która odchodziła od szosy i prowadziła pod most.

– Spróbuję, komisarzu. Ale weź pod uwagę, że jedną nogę mam unieruchomioną. Zapnij pas. Ma być szybko?

– Tak, ale najważniejsze, żebyśmy cali i zdrowi dojechali do plaży.

Ingrid wrzuciła bieg i ruszyła jak rakieta. Przez dziesięć minut, bez najkrótszej przerwy, samochód wściekle podskakiwał. W pewnej chwili Montalbano poczuł, że jego głowa ma wielką ochotę oderwać się od reszty ciała i wyfrunąć przez okno. Tymczasem Ingrid była spokojna, opanowana. Prowadziła, wysuwając czubek języka, aż komisarz miał ochotę powiedzieć, żeby tego nie robiła, bo może go sobie przypadkiem odgryźć.

– Zdałam egzamin? – spytała Ingrid, kiedy już dojechali na plażę.

Oczy błyszczały jej w mroku. Była podniecona i zadowolona.

– Tak.

– Pojedźmy jeszcze raz, tym razem pod górę.

– Zwariowałaś?! Wystarczy.

Słusznie nazwała to egzaminem. Tyle że ten egzamin nie przyniósł żadnego rozstrzygnięcia. Ingrid na pewno umiała przejechać tędy bez problemu – i to przemawiało na jej niekorzyść. Ale życzenie komisarza przyjęła bez zdenerwowania, tylko ze zdziwieniem, co z kolei przemawiało

na jej korzyść. A jak zakwalifikować fakt, że nie rozbiła mu samochodu? Na plus czy na minus?

– No więc jak? Powtarzamy? Proszę, to była jedyna zabawna chwila tego wieczoru.

– Nie, już ci mówiłem.

– A więc teraz ty prowadź, mnie boli noga.

Jadąc wzdłuż wybrzeża, komisarz miał okazję się przekonać, że samochód działa bez zarzutu, nic się w nim nie urwało.

– To było świetne.

– Widzisz – powiedziała Ingrid z powagą i ze znanstwem – każdy może przejechać ten odcinek. Mistrzostwo polega na tym, żeby na końcu jazdy samochód był w takim samym stanie jak na początku. Ponieważ później można się znaleźć na szosie asfaltowej, a nie na plaży jak teraz, i trzeba jechać pełnym gazem. Chyba nie wyrażam się jasno.

– Jaśniej nie można. Ktoś, kto po takiej jeździe przybywa na plażę z urwanym zawieszaniem, mistrzem nie jest.

Kiedy dotarli do „pastwiska”, Montalbano skręcił w prawo.

– Czy widzisz ten gęsty krzak? Tam znaleziono Luparella.

Ingrid nic nie powiedziała, nie okazała nawet specjalnego zainteresowania. Przejechali alejką, tego wieczoru nie kręciło się tutaj wiele osób.

– Kobieta, która była z Luparellem – powiedział komisarz, kiedy zbliżyli się do muru wokół starej fabryki – w tym miejscu zgubiła naszyjnik i rzuciła torebkę za ogrodzenie.

– Mój worek?

– Tak.

– To nie byłam ja – wyszeptała – i przysięgam ci, że nic z tego nie rozumiem.

Kiedy zatrzymali się przed domem Montalbana, Ingrid nie mogła wysiąść z samochodu o własnych siłach, więc komisarz musiał objąć jej kibić, podczas gdy ona wsparła się na jego ramieniu. Ledwie weszli do mieszkania, opadła na pierwsze krzesło, jakie stało na jej drodze.

– Jezu! Teraz naprawdę mnie boli!

– Idź tam i zdejmij spodnie, to zrobię ci opatrunek.

Ingrid wstała z jękiem i poszła, kulejąc. Opierała się o meble i ściany.

Montalbano zadzwonił do komisariatu. Fazio powiedział, że właściciel stacji benzynowej przypomniał sobie wszystko, zidentyfikował z całą pewnością mężczyznę, który prowadził samochód i którego chciano zamordować. Turi Gambardella z rodziny Cuffaro, tak jak można było przypuszczać.

– Galluzzo – mówił dalej Fazio – był już u Gambardelli. Jego żona twierdzi, że od dwóch dni nie ma go w domu.

– Wygrałbym z tobą ten zakład – powiedział komisarz.

– Skąd panu przyszło do głowy, że jestem na tyle głupi, żeby się zakładać?

Usłyszał szum wody w łazience. Ingrid należała widocznie do kobiet, które nie potrafią się oprzeć widokowi prysznic. Wybrał numer telefonu komórkowego Gege.

– Jesteś sam? Możesz rozmawiać?

– Co do tego, czy jestem sam, to owszem. Ale co do tego, żeby porozmawiać, to zależy.

– Chcę cię tylko zapytać o jedno nazwisko. Ta informacja nie rzuca na

ciebie podejrzeń, jasne? Ale chcę dokładnej odpowiedzi.

– No, w czym rzecz?

Montalbano wytłumaczył, o kogo mu chodzi, a Gege nie miał żadnych oporów, by podać nie tylko nazwisko, lecz również pseudonim.

Ingrid położyła się na łóżku, przykryta dużym ręcznikiem, który osłaniał ją bardzo skapo.

– Przepraszam, ale trudno mi wytrzymać ze spuszczonej nogami.

Montalbano wyjął z szafki w łazience tubkę z maścią i zawiniątko gazy.

– Unieś nogę.

Kiedy wykonywała jego polecenie, ręcznik osunął się, odsłaniając odważnie wycięte majtki. Piersi, piękne, jak gdyby ukształtowała je dłoń mistrza aktu, wieńczyły sutki, które wydawały się wścibsko patrzeć dokoła, zaciekawione nie znanym sobie otoczeniem. Również tym razem Montalbano zrozumiał, że Ingrid nie ma najmniejszego zamiaru go uwieść, i był jej za to wdzięczny.

– Zobaczysz, jeszcze trochę, a poczujesz się lepiej – powiedział, kiedy już nasmarował jej kostkę i ciasno obwiązał ją gazą.

Ingrid nawet na chwilę nie odrywała od niego oczu.

– Czy masz whisky? Nalej mi pół szklanki, bez lodu.

Było tak, jakby łączyła ich wieloletnia zażyłość. Montalbano podał jej szklankę, wziął krzesło i usiadł przy łóżku.

– Wiesz, co ci powiem, komisarzu? – zagadnęła Ingrid, patrząc na niego jaśniejącymi zielonymi oczami. – Jesteś pierwszym prawdziwym mężczyzną, którego spotykam w tych stronach po pięciu latach pobytu.

– Lepszym od Luparella?

– Tak.

– Dziękuję. Teraz zadam ci kilka pytań.

– Słucham.

Już miał otworzyć usta, kiedy usłyszał dzwonek. Nikogo się nie spodziewał, więc niepewnie podszedł do drzwi. Na progu zobaczył Annę: była w cywilnym ubraniu i uśmiechała się.

– Niespodzianka!

Odsunęła go i weszła do środka.

– Dziękuję za entuzjazm. Gdzie się podziewałeś przez cały wieczór? W komisariacie powiedziano mi, że jesteś w domu, więc przyszedłem, ale było ciemno. Dzwoniłam chyba pięć razy, bez skutku, aż w końcu zobaczyłam światło.

Spojrzała z uwagą na Montalbana, który nie mógł wydobyć z siebie słowa.

– Co ci jest? Oniemiałeś? A więc posłuchaj...

Przerwała. Przez otwarte drzwi sypialni zobaczyła Ingrid, niemal całkiem naga, ze szklanką w dłoni. Najpierw zbladła, potem oblała się gorącym rumieńcem.

– Przepraszam – wymamrotała i wybiegła.

– Leć za nią! – krzyknęła Ingrid. – Wytłumacz jej to! Ja już wychodzę.

Montalbano z wściekłością kopnął drzwi wejściowe. Zatrzasnęły się, wprawiając w drżenie ścianę. Samochód Anny ruszył z piskiem, zdradzającym nie mniejszą wściekłość.

– Nie mam obowiązku niczego jej tłumaczyć, do kurwy nędzy!

– Chcesz, żebym sobie poszła?

Ingrid uniosła się, siadając na łóżku, a jej piersi już całkiem uwolniły się od ręcznika.

– Nie. Ale okryj się.

– Przepraszam.

Montalbano zdjął marynarkę i koszulę, po czym przeszedł do łazienki. Przez jakiś czas trzymał głowę pod kranem, zanim znowu usiadł koło łóżka.

– Chcę wiedzieć dokładnie, jak to było z naszyjnikiem.

– A więc w ubiegły poniedziałek mojego męża obudził jakiś telefon, ale nie wiedziałam, o co chodzi, bo byłam zaspana. Giacomo szybko się ubrał i wyszedł z domu. Wrócił po dwóch godzinach i spytał mnie, gdzie się podział naszyjnik, bo od jakiegoś czasu nie może go znaleźć. Nie mogłam mu powiedzieć, że jest w torbie w domu Silvia czy gdziekolwiek indziej, bo gdyby chciał go zobaczyć, nie miałabym pojęcia, co robić. Powiedziałam więc, że zgubiłam go jakiś rok temu i nie mówiłam mu o tym z obawy, że się wścieknie: ten naszyjnik był wart mnóstwo pieniędzy, a poza tym to on sam podarował mi go w Szwecji. Wówczas Giacomo poprosił, żebym złożyła podpis u dołu białej kartki, na której, jak mówił, miał napisać wniosek o wypłatę ubezpieczenia.

– A skąd się wzięła ta cała bajka o „pastwisku”?

– Ach, to już było później, kiedy wrócił na obiad. Tłumaczył, że jego adwokat, Rizzo, powiedział, że na poparcie wniosku o wypłatę ubezpieczenia potrzebna jest bardziej przekonująca opowieść o zaginięciu naszyjnika, i podsunął mu historyjkę o „pawtwisku”.

– „Pastwisku” – poprawił Montalbano, którego drażnił akcent Ingrid.

– „Pastwisku”, „pastwisku” – powtórzyła. – Szczerze mówiąc, ta wersja wcale mnie nie przekonała, wydawała się podejrzana, za bardzo naciągana. Ale Giacomo zwrócił mi uwagę, że powszechnie uchodzę za kurwę, a więc wszystkim wyda się prawdopodobne, że wpadłam na pomysł, by pojechać na „pastwisko”

– Rozumiem.

– Ale ja nie rozumiem!

– Mieli zamiar cię wrobić.

– Nie rozumiem tego słowa.

– Pomyśl: Luparello umiera na „pastwisku”, będąc z kobietą, która skłoniła go do tej wyprawy, prawda?

– Prawda.

– No więc ktoś chce, żeby wszyscy myśleli, że to ty byłaś tą kobietą. Twoja jest torba, twój naszyjnik, do ciebie należą ubrania w domu Luparella, to ty potrafisz zjechać wyschniętym łóżyskiem rzeki... Z tego wszystkiego powinni wyciągnąć jeden wniosek: ta kobieta nazywa się Ingrid Sjostrom.

– Rozumiem – powiedziała i zamilkła na dłuższą chwilę, wbijając oczy w szklanekę, którą zaciskała w dłoniach. Wreszcie się otrząsnęła. – To niemożliwe.

– Co?

– Że Giacomo jest w zмовie z ludźmi, którzy chcą mnie, jak to określasz, wrobić.

– Niewykluczone, że zmusili go do takiej zмовy. Sytuacja finansowa twojego męża nie jest najszcześniejsza, wiesz o tym?

– On sam ze mną na ten temat nie rozmawiał, ale to się wyczuwa. Jednak jestem pewna, że jeśli to zrobił, to nie dla pieniędzy.

– Ja też jestem tego prawie pewien.

– A więc dlaczego?

– Być może jest inne wytłumaczenie: twój mąż był zmuszony wciągnąć cię w to, żeby ochronić osobę, która jest mu jeszcze bliższa niż ty. Zaczekaj.

Poszedł do drugiego pokoju, gdzie stało niewielkie biurko zasypiane

papierami, i wziął faks, który otrzymał od Nicolo Zito.

– Ale ochronić przed czym? – spytała Ingrid, kiedy wrócił do pokoju. – Jeżeli Silvio umarł podczas stosunku, to nikt nie jest winny, przecież nie został zamordowany.

– Ochronić nie przed prawem, lecz przed skandalem. Ingrid zaczęła czytać faks. Najpierw była wyraźnie zaskoczona, potem wydawała się coraz bardziej rozbawiona, a przy epizodzie z klubem polo wybuchnęła szczerym śmiechem. Natychmiast jednak zasepiła się, upuściła kartkę na łóżko i odwróciła głowę.

– To on, twój teść? To z nim jeździłaś do domku Luparella?

Widać było, że odpowiedź na to pytanie wiele ją kosztuje.

– Tak. I widzę, że w Montelusie o tym się mówi, choć robiłam wszystko, żeby to ukryć. To najgorsze, co przydarzyło mi się na Sycylii, odkąd tu przyjechałam.

– Nie musisz opowiadać szczegółów.

– Chcę tylko, żebyś wiedział, że to nie ja zaczęłam. Dwa lata temu mój teść miał jechać na kongres do Rzymu. Zaprosił mnie i Giacomę. W ostatniej chwili okazało się, że mąż nie może jechać, ale nalegał, żebym ja pojechała, bo jeszcze nigdy nie byłam w Rzymie. Wszystko układało się jak najlepiej, ale ostatniej nocy teść wszedł do mojego pokoju. Wydawał się szalony, uległam, żeby go uspokoić: wrzeszczał, groził mi. Kiedy wracaliśmy samolotem do domu, popłakiwał, powiedział, że to się już nigdy nie powtórzy. Wiesz, że mieszkamy pod jednym dachem? No i któregoś dnia, kiedy mojego męża nie było w domu, a ja leżałam w łóżku, pojawił się jak tamtej nocy, cały drżał. Tym razem również się przestraszyłam, pokojówka była w kuchni... Nazajutrz powiedziałam Giacomowi, że chcę zmienić mieszkanie, on się wykręcał, ja nalegałam, więc się pokłóciliśmy. Jeszcze

kilkakrotnie próbowałam wrócić do tego tematu, ale za każdym razem odmawiał. Z jego punktu widzenia to on miał rację. Tymczasem mój teść nalegał, całował mnie, dotykał, kiedy tylko mógł, ryzykując, że zobaczy to jego żona albo Giacomo. Dlatego poprosiłam Silvia, żeby od czasu do czasu udostępniał mi dom.

– Czy twój mąż coś podejrzewa?

– Nie wiem, ale zastanawiałam się nad tym. Czasem mi się wydaje, że tak, innym znów razem jestem pewna, że nie.

– Jeszcze jedno pytanie, Ingrid. Kiedy dojechaliśmy na cypel Massaria i otwierałaś drzwi, powiedziałaś mi, że i tak nic tam nie znajdę. A gdy zobaczyłaś, że w środku nic się nie zmieniło, byłaś bardzo zaskoczona. Czy ktoś cię zapewnił, że z domu Luparella wszystko zostało wyniesione?

– Tak, Giacomo.

– A więc twój mąż wiedział?

– Powoli, bo się w tym wszystkim pogubię. Kiedy Giacomo przekazał mi, co mam zeznać, gdyby przesłuchiwali mnie agenci ubezpieczeniowi, czyli że byłam z nim na „pastwisku”, a ja zaniepokoiłam się czymś innym: tym, że po śmierci Silvia ktoś prędzej czy później mógłby odkryć jego domek, a w nim – moje ubrania, moją torbę i jeszcze inne rzeczy.

– Kto według ciebie miałby je znaleźć?

– Nie wiem, policja, rodzina... Opowiedziałam o wszystkim Giacomowi, ale w jednym skłamałam: nie wyjaśniłam, że chodzi o jego ojca, tylko dałam do zrozumienia, że jeździłam tam z Silviem. Wieczorem powiedział mi, że wszystko jest już w porządku, że zajmie się tym jego przyjaciel i jeśli nawet ktoś trafi do tego domku, to zobaczy tylko wymalowane ściany. A ja uwierzyłam. Co ci jest?

Montalbana zaskoczyło to pytanie.

– A co miałyby być?

– Ciągłe dotykasz sobie karku.

– Ach, tak. Boli mnie. To chyba od tej przejażdżki po Canneto. A jak twoja kostka?

– Lepiej, dziękuję.

Ingrid wybuchnęła śmiechem, miała huśtawkę nastrojów, jak dziecko.

– I z czego się śmiejesz?

– Twój kark, moja kostka... Prawdziwy szpital.

– Czujesz się na siłach, żeby wstać?

– Gdyby to ode mnie zależało, zostałabym tu do rana.

– Mamy jeszcze dużo do zrobienia. Ubierz się. Możesz prowadzić?

Płaskie jak flądra auto Ingrid wciąż stało na parkingu przed barem „Marinella”. Widocznie było za bardzo charakterystyczne, żeby ktoś je ukradł. Po Montelusie i okolicy krążyło zaledwie kilka podobnych modeli.

– Wsiądź do swojego samochodu i jedź za mną – powiedział Montalbano.
– Wracamy na cypel.

– Boże! A po co? – jęknęła Ingrid, która nie miała na to najmniejszej ochoty. Komisarz rozumiał ją doskonale.

– W twoim interesie.

Zanim Montalbano zgasił reflektory, zdążył jeszcze zauważyć, że furka prowadząca do willi jest otwarta. Wysiadł i podszedł do samochodu Ingrid.

– Zaczekaj tu na mnie. Wyłącz światła. Pamiętasz, czy zamknęliśmy za sobą furtkę?

– Nie pamiętam dokładnie, ale wydaje mi się, że tak.

– Zawróć samochodem, zrób to jak najciszej.

Wykonała polecenie, teraz przód auta skierowany był na szosę.

– Idę do środka, a ty nastawiaj uszu. Jeśli usłyszysz mój krzyk albo coś ci się wyda podejrzanego, nie zastanawiaj się ani chwili, tylko ruszaj i wracaj do domu.

– Myślisz, że tam ktoś jest?

– Nie wiem. Rób, jak ci powiedziałem.

Wyjął ze swojego samochodu torebkę i pistolet. Ruszył, starając się lekko stawiać stopy. Zszedł po schodach; drzwi wejściowe tym razem otworzyły

się bezgłośnie, nie stawiając oporu. Przeształ próg, z pistoletem w dłoni. Salon był lekko oświetlony reflekssem morza. Montalbano kopniakiem odchylił drzwi do łazienki, potem następne, śmiejąc się w duchu, że zachowuje się jak bohater amerykańskich seriali. W domu nie było nikogo, nie znalazł też śladów niczyjej niedawnej obecności. Doszedł do przekonania, że to on sam zapomniał zamknąć furtkę. Otworzył okno salonu i spojrział w dół. W tym miejscu cypel Massaria sterczał nad morzem jak dziób statku, bezpośrednio pod nim woda musiała być głęboka. Komisarz wziął srebrne sztućce i ciężką kryształową popielniczkę, włożył je do torby, którą zakręcił nad głową i cisnął daleko przed siebie. Następnie wyjął z szafy w sypialni wszystko to, co należało do Ingrid, i wyszedł, upewniając się, że drzwi wejściowe są dobrze zamknięte. Kiedy tylko stanął na szczycie schodów, oblało go światło reflektorów samochodu Ingrid.

– Mówiłem ci, żebyś wyłączyła światła. I dlaczego przestawiłaś samochód?

– Gdybyś był w kłopotcie, nie chciałabym cię zostawić samego.

– To twoje ubrania.

Wzięła je i położyła na sąsiednim siedzeniu.

– A torba?

– Na dnie morza. Teraz wracaj do domu. Już nie mogą cię zrobić.

Ingrid wysiadła i objęła Montalbana. Stała tak przez dłuższą chwilę, z głową przytuloną do jego piersi. Potem, nie patrząc już na niego, wsiadła z powrotem, wrzuciła bieg i odjechała.

Tuż przy wjeździe na most nad Canneto, prawie w poprzek drogi, stał samochód, a obok niego mężczyzna, z opartymi na dachu łokciami. Dłońmi zakrywał sobie twarz i lekko chwiały w się na nogach.

– Co jest? – rzucił Montalbano, hamując.

Mężczyzna odwrócił się; z rozległej rany na samym środku czoła ciekła krew, zalewając mu twarz.

– Kutas – powiedział.

– Nie zrozumiałem, czy może pan mówić jaśniej? – Montalbano wysiadł z samochodu i podszedł do nieznanego.

– Jechałem sobie spokojnie, aż tu jakiś skurwysyn zaczął wyprzedzać, i to tak, że prawie zepchnął mnie na pobocze. A więc wkurwiłem się i zacząłem go gonić, trąbiąc i dając znaki długimi światłami. Ten w pewnej chwili zahamował, niemal tarasując mi drogę. Kiedy wysiadł, w ręku trzymał coś, czego nie mogłem dostrzec, ale przestraszyłem się, bo pomyślałem, że to broń. Podszedł do mojego okna... miałem opuszczoną szybę... i bez słowa dzielił mnie tym czymś, co okazało się kluczem francuskim.

– Potrzebuje pan pomocy?

– Nie, już przestaję krwawić.

– Czy chce pan wnieść skargę?

– Niech mnie pan nie rozśmiesza, i tak łeb mi pęka.

– Zawieźć pana do szpitala?

– A może pan, z łaski swojej, pilnować własnej dupy?

Od dawna nie przespał całej nocy, jak Pan Bóg przykazał. Teraz przyplątał się ten pieprzony ból – skutek przejazdu łożyskiem rzeki. Bez względu na to, czy Montalbano leżał na brzuchu, czy na plecach, ból pozostawał, tępy, mglisty, a przez to nieznośny.

Włączył światło. Była czwarta. Na szafce wciąż leżała maść i kłębek gazy, którą opatrywał Ingrid. Wstał i przed lustrem w łazience posmarował sobie kark odrobiną maści, która mogła przynieść ulgę, a potem owinął szyję

bandażem i przymocował go plastrem. Zrobił to pewnie za mocno, bo z trudem kręcił głową. Przejrzał się w lustrze. I wówczas w mózgu rozbłysnął mu oślepiający flesz, który przyćmił nawet światło łazienki: komisarz poczuł się jak komiksowa postać, która ma w oczach promienie rentgenowskie i dzięki nim widzi wszystko na wskroś.

W gimnazjum uczył go religii pewien stary ksiądz. „Prawda jest światłem” – powiedział któregoś dnia.

Montalbano był uczniem uciążliwym i leniwym, zawsze siedział w ostatniej ławce. „Jeżeli w jakiejś rodzinie wszyscy mówią prawdę, to oszczędzają na liczniku” – skomentował kiedyś głośno słowa katechety, za co został wyrzucony z klasy.

Teraz, ponad trzydzieści lat później, przeprosił w duchu księdza.

– Okropnie pan wygląda! – wykrzyknął Fazio, kiedy tylko komisarz wszedł do biura. – Źle się pan czuje?

– Zostaw mnie w spokoju – odpowiedział Montalbano. – Czy są jakieś wiadomości o Gambardelli? Znaleźliście go?

– Nie. Zniknął. Boję się, że znajdziemy go gdzieś w polu, rozwłóconego przez psy.

W głosie brygadiera pobrzmiwał jednak niepokój. Za długo się znali, żeby komisarz tego nie wyczuł.

– Co jest?

– A to, że Galio siedzi na pogotowiu, rozwalił sobie rękę, nic poważnego.

– Jak to się stało?

– Niewielki wypadek.

– Kraksa? Jechał za szybko?

– Tak.

– Mam zawołać twoją mamusię, żeby w końcu kazała ci to z siebie wydusić?

– No więc kazałem mu jechać na targ, bo była tam bójka. Natychmiast popędził, wie pan, jaki on jest. Wyleciał z drogi i uderzył w słup. Samochód zabrano na nasz parking do Montelusy, dostaliśmy zapasowe auto.

– Powiedz prawdę, Fazio: ktoś nam przedziurawił opony?

– Tak.

– I Galio nie sprawdził, jak was prosiłem już chyba ze sto razy? Czy tak trudno zapamiętać, że przebijanie opon to sport narodowy w tym zasranym miasteczku? Powiedz mu, żeby nie pokazywał się dzisiaj w biurze, bo jeśli go zobaczę, to mu nogi z dupy powyrywam.

Trzasnął drzwiami swojego gabinetu, naprawdę wściekły. Zaczął gmerać w blaszanym pudełku, w którym trzymał różne drobiazgi, od oderwanych guzików po znaczki, wyjął klucz do starej fabryki i wyszedł bez słowa.

Siedząc na zbutwiałej belce w miejscu, gdzie znalazł torbę Ingrid, przyglądał się przedmiotowi, który poprzednio wydawał mu się czymś bez znaczenia, jakąś złączką do rur, a który teraz rozpoznał bez trudu: kołnierz ortopedyczny, prawie nowy, choć wyraźnie już ktoś go używał. Chyba zadziałała siła autosugestii, bo kark znów zaczął go boleć. Wstał, wziął kołnierz, wyszedł ze starej fabryki i wrócił do komisariatu.

– Pan komisarz? Mówi Stefano Luparello.

– Słucham, inżynierze.

– Uprzedziłem wczoraj kuzyna, że chce się pan z nim spotkać dzisiaj o dziesiątej. Jednak pięć minut temu zadzwoniła do mnie ciotka, jego matka. Myślę, że Giorgio nie będzie mógł przyjść o wyznaczonej przez pana godzinie.

– Co się stało?

– Nie wiem dokładnie, ale chyba całą minioną noc był poza domem, tak powiedziała ciotka. Wrócił niedawno, około dziewiątej, w stanie, który można nazwać opłakanym.

– Proszę mi wybaczyć, inżynierze, ale pańska matka chyba mówiła, że on nocuje u was.

– Owszem, tak było do śmierci mojego ojca, potem przeniósł się do własnego domu. U nas bez taty czuł się niezręcznie. W każdym razie ciotka wezwała lekarza, który zrobił mu zastrzyk uspokajający. Teraz śpi głęboko. Wie pan, bardzo mi go żal. Być może nazbyt mocno przywiązał się do mojego ojca.

– Rozumiem. Kiedy zobaczy się pan ze swoim kuzynem, proszę mu powiedzieć, że muszę z nim porozmawiać. Ale bez pośpiechu, nic ważnego, kiedy tylko będzie mógł.

– Oczywiście. Ach, obok mnie jest mama; prosi, żebym pana pozdrowił.

– Dziękuję. Proszę jej powiedzieć, że ja... Pańska matka jest nadzwyczaj na kobietą, inżynierze. Proszę jej powiedzieć, że darzę ją ogromnym szacunkiem.

– Bardzo dziękuję, przekażę.

Montalbano stracił jeszcze godzinę, podpisując i wypełniając dokumenty. Były to równie skomplikowane, co niepotrzebne kwestionariusze ministerialne. Galluzzo, bardzo wzburzony, nie tylko nie zapukał, lecz otworzył na oścież drzwi, aż odskoczyły od ściany.

– Co, do cholery?! Co się stało?

– Właśnie miałem wiadomość od kolegi z Montelusy. Mecenaz Rizzo został zamordowany. Zastrzelony. Znaleźli go obok jego samochodu w

dzielnicy San Giusippuzzu. Jeżeli pan chce, dowiem się więcej.

– Zostaw, pojedę tam.

Montalbano spojrział na zegarek. Jedenasta! Wybiegł z komisariatu.

W domu Sara nie było nikogo. Kiedy Montalbano zapukał do sąsiednich drzwi, otworzyła mu rozgniewana staruszka.

– Co tam! Jak można tak nachodzić ludzi?!

– Proszę mi wybaczyć, szukałem państwa Montaperto.

– Państwa Montaperto? Ładni mi państwo! To chamy, śmieciarze, i tyle! –
Pomiędzy dwiema rodzinami najwyraźniej nic układało się najlepiej. – A pan
to kto?

– Jestem komisarzem policji.

Twarz rozjaśniła jej się w uśmiechu. Kobięcina zaczęła wydawać z siebie
piskliwe, radosne okrzyki.

– Turiddu! Turiddu! Chodź tu szybko!

– Kto to? – spytał kościsty staruszek.

– Ten pan to komisarz! Widzisz, że miałam rację? Szuka ich policja. To
byli oszuści! Uciekli, żeby nie wylądować w więzieniu.

– Kiedy uciekli, proszę pani?

– Niecałe pół godziny temu. Z dzieckiem. Jeżeli pan za nimi popędzi,
możliwe, że jeszcze ich pan złapie po drodze.

– Bardzo pani dziękuję. Ruszam w pościg.

Sarowi, jego żonie i dziecku udało się.

W drodze do Montelusy został zatrzymany dwukrotnie: najpierw przez
patrol strzelców alpejskich, potem przez karabinierów. Najgorzej jechało się
drogą prowadzącą do San Giusippuzzu: przez blokady i kontrole; aby

pokonać niespełna pięć kilometrów, musiał poświęcić czterdzieści pięć minut. Na miejscu był już kwestor, pułkownik karabinierów i cała kwestura z Montelusy. Była również Anna, która udała, że go nie widzi. Jacomuzzi rozglądał się dokoła, szukał kogoś, komu mógłby opowiedzieć wszystko w najdrobniejszych szczegółach. Kiedy tylko zobaczył Montalbana, natychmiast wybiegł mu naprzeciw.

– Egzekucja jak trzeba, bez żadnej litości.

– Ilu ich było?

– Jeden, przynajmniej strzelał tylko jeden. Biedny mecenas wyszedł ze swojego biura o szóstej trzydzieści rano, wziął jakieś dokumenty i skierował się w stronę Tabbity, gdzie miał spotkanie z klientem. Wyszedł sam, to pewne, ale po drodze zabrał do samochodu kogoś, kogo znał.

– Może po prostu jakiegoś autostopowicza.

Jacomuzzi wybuchnął serdecznym śmiechem, aż kilka osób odwróciło się w jego kierunku.

– Wyobrażasz sobie taką szychę jak Rizzo, która ma jeszcze ochotę pomagać jakimś nieznanym? Przecież on musiał się bać własnego cienia! Sam wiesz, i to lepiej ode mnie, że zawsze stał za plecami Luparella. Nie, to był na pewno ktoś, kogo doskonale znał, jakiś mafioso.

– Mafioso, powiadasz?

– Dałbym sobie rękę uciąć. Mafia podniosła cenę, żąda coraz więcej, a politycy nie zawsze są w stanie spełnić jej żądania. Dopuszczam jednak również inną możliwość. Nadepnął komuś na odcisk już po nominacji, kiedy się poczuł silniejszy. I tego mu nie wybaczone.

– Jacomuzzi, składam gratulacje, dziś rano wykazujesz nadzwyczajną bystrość, od razu widać, że się gruntownie wysrałeś. Dlaczego jesteś taki pewny tego, co mówisz?

– Wnioskuje to ze sposobu, w jaki został zabity. Ktoś najpierw zmiażdżył mu jaja kopniakiem, potem kazał uklęknąć, przystawił pistolet do karku i strzelił.

Montalbano znowu poczuł bolesne rwanie z tyłu głowy.

– Jaka to była broń?

– Pasquano mówi, że na oko, biorąc pod uwagę wlot i wylot kuli oraz fakt, że strzał oddano praktycznie z przyłożenia, musiał to być kaliber 7,65.

– Komisarzu Montalbano!

– Kwestor cię woła – powiedział Jacomuzzi i zniknął.

Zwierzchnik podał komisarzowi rękę, uśmiechnęli się do siebie.

– I pana tutaj przyniosło?

– Prawdę mówiąc, panie kwestorze, zaraz stąd znikam. Byłem w Montelusie, usłyszałem wiadomość i przyjechałem z czystej ciekawości.

– A więc do zobaczenia dziś wieczorem. Tylko proszę nas nie zawieść, moja żona czeka na pana.

To było przypuszczenie, tylko przypuszczenie, i to tak mgliste, że gdyby dobrze się nad nim zastanowił, natychmiast by się rozwiało. A jednak trzymał nogę na pełnym gazie i w jednym z punktów blokady o mało co nie ściągnął na siebie serii z karabinu. Dotarłszy na cypel Massaria, nawet nie wyłączył silnika. Wskoczył z auta, pozostawiając za sobą otwarte drzwi, łatwo otworzył furtkę i drzwi wejściowe i wbiegł do sypialni. W szufladzie szafki nocnej pistoletu już nie było. Zwymyślał się od najgorszych, okazał się idiotą. Po pierwszej wizycie w tym domu, kiedy odkrył broń w szufladzie, był tu jeszcze dwa razy z Ingrid i w ogóle nie przyszło mu do głowy, żeby sprawdzić, czy pistolet jest na swoim miejscu, nawet wtedy, gdy zobaczył otwartą furtkę i wmówił sobie, że sam zapomniał ją zamknąć.

„Teraz będę się smyślać” – pomyślał, kiedy tylko wrócił do domu. Lubił czasownik „smyślać się”, który oznaczał tyle, co „łazić bez celu po domu, zajmując się niepotrzebnymi rzeczami”. I tak właśnie zrobił. Ułożył książki, uporządkował rzeczy na biurku, wyprostował wiszący na ścianie rysunek, wyczyścił palniki kuchni gazowej. Smyślał się. Nie był głodny, nie poszedł do restauracji i nawet nie zajrzał do lodówki, żeby zobaczyć, co przygotowała Adelina.

Wróciwszy do domu, jak zwykle włączył telewizor. Pierwszą wiadomością, jaką podał spiker Telegaty, były szczegóły dotyczące zabójstwa mecenasa Rizzo. Szczegóły, ponieważ informacja o samej śmierci ukazała się już w wydaniu specjalnym. Dziennikarz nie miał żadnych złudzeń: adwokat został okrutnie zamordowany przez mafię, przerażoną faktem, że denat dopiero co objął wysokie stanowisko polityczne, na którym mógłby jeszcze skuteczniej prowadzić walkę z przestępczością zorganizowaną. Albowiem takie właśnie było hasło odnowy: bezpardonowa walka z mafią. Również Nicolo Zito, który od razu wrócił z Palermo, na Reteliberze mówił o mafii, lecz jego wywód był tak pokrętny, że nie dało się nic z niego zrozumieć. Między wierszami, a raczej między słowami, Montalbano wyczytał, że Zito myślał o brutalnym uregulowaniu rachunków, ale nie wyraził tego otwarcie – bał się, że ściągnie sobie na głowę kolejną rozprawę sądową, a dość miał już tych, które były w toku. Montalbana wkrótce zmęczyła ta gadanina, wyłączył telewizor, zamknął okiennice, żeby odpocząć od światła dziennego, położył się na łóżku, nie zdejmując ubrania, i skulił się. Chciał odpłynąć. Ten czasownik też bardzo mu się podobał. Oznaczał zarówno „zasnąć”, jak i „oddalić się od społeczności ludzkiej”. W tej chwili oba te znaczenia wydały się komisarzowi równie stosowne.

Dokonanie pani Elisy wydało się podniebieniu Montalbana nie tyle nowym sposobem przyrządzania ośmiorniczek, ile prawdziwym dziełem bożej inspiracji. Dwukrotnie nałożył sobie obfitą porcję, a kiedy zobaczył, że kończy się również repeta, zwolnił rytm przeżuwania, żeby choć trochę przedłużyć rozkosz, jakiej dostarczała mu ta potrawa. Pani Elisa była zachwycona: jak każda dobra gospodyni, cieszyła się wyrazem ekstazy malującej się na twarzach gości, kiedy degustowali któreś z jej dań. Montalbana zaliczała do swoich faworytów.

– Dziękuję, naprawdę dziękuję – powiedział na koniec i odetchnął. Ośmiorniczki sprawiły coś w rodzaju cudu. Choć tylko częściowo: Montalbano czuł się już pogodzony z Bogiem i z ludźmi, lecz w dalszym ciągu w bardzo niewielkim stopniu był pogodzony z samym sobą.

Na koniec kolacji pani domu sprzątnęła ze stołu, pozostawiając na nim tylko butelkę chivas dla komisarza i butelkę likieru dla męża.

– Porozmawiajcie sobie teraz o waszych prawdziwych denatach, a ja pójdę pooglądać w telewizji nieboszczyków na niby. Wolę takich.

Ten rytuał powtarzał się co najmniej raz na dwa tygodnie. Montalbano lubił kwestora i jego żonę, a oni tę sympatię hojnie odwzajemniali. Kwestor był człowiekiem w starym stylu: kulturalnym, wykształconym i zdystansowanym.

Rozmawiali o katastrofalnej sytuacji politycznej, o groźnych perspektywach, jakie niósł dla kraju wzrost bezrobocia, o chaotycznym funkcjonowaniu organów porządku publicznego. Następnie kwestor

przeszedł wprost do rzeczy.

– Czy mogę wiedzieć, dlaczego nie zamknął pan jeszcze sprawy Luparella? Otrzymałem dziś telefon od Lo Bianco, który był tym wyraźnie zmartwiony.

– Wściekły?

– Nie, jak mówiłem: tylko zmartwiony. A wręcz zdziwiony. Nie rozumie powodów, dla których przeciąga pan sprawę. I ja, prawdę mówiąc, też. Proszę mnie posłuchać. Znamy się nie od dzisiaj, więc na pewno pan wie, że nigdy nie wywierałbym na funkcjonariusza nacisku, by podjął decyzję zgodną z czyimiś oczekiwaniami.

– Wiem o tym doskonale.

– A więc jeżeli pana o to pytam, to z osobistej ciekawości. Czy wyrażam się jasno? Rozmawiam teraz z przyjacielem Montalbano, proszę to mieć na uwadze. Z przyjacielem, którego szanuję za inteligencję, przenikliwość, a przede wszystkim za przyzwoitość w kontaktach międzyludzkich, która w dzisiejszych czasach jest cechą niezmiernie rzadką.

– Dziękuję, panu kwestorze, i obiecuję szczerłość, na którą pan zasługuje. Tym, co od razu wydało mi się podejrzane w tej sprawie, było miejsce odnalezienia zwłok. Nie pasowało, i to bardzo, w jaskrawy wręcz sposób, do osobowości i obyczajów Luparella, który był człowiekiem przezornym, ostrożnym i ambitnym. Zadałem sobie pytanie: dlaczego to zrobił? Dlaczego zapuścił się aż na „pastwisko”, żeby odbyć stosunek, który w tym otoczeniu mógł się okazać niezwykle niebezpieczny i wystawić na szwank jego reputację? Nie znalazłem żadnej odpowiedzi. To tak, jak gdyby – zachowując i odpowiednie proporcje – prezydent republiki umarł na zawał, tańcząc rocka w jakiejś podrzędnej dyskotecie.

Kwestor podniósł dłoń, żeby mu przerwać.

– Pańskie porównanie nie jest odpowiednie – zauważył z wymuszonym uśmiechem. – Mieliśmy przecież niedawno ministra, który pozwalał sobie na płąsy w raczej podrzędnych klubach nocnych, chociaż nie umarł.

Słowo „niestety”, które niewątpliwie zamierzał dodać, zgasło mu na wargach.

– Ale fakt pozostaje faktem – ciągnął swój wywód Montalbano. – I w tym pierwszym wrażeniu bardzo mnie utwierdziła wdowa po inżynierze.

– Poznał ją pan? Jest bardzo mądrą kobietą.

– To ona zabiegała o spotkanie ze mną, idąc za pańską sugestią. W rozmowie, którą odbyliśmy wczoraj, powiedziała, że jej mąż miał własny dom na cyplu Massaria, i dała mi klucze. Jaki więc miał w tym interes, żeby pokazywać się w takim miejscu jak „pastwisko”?

– Sam sobie zadawałem to pytanie.

– Ulegając zamięłowaniu do teoretycznych rozważań, założmy nawet, że tam pojechał, namówiony przez kobietę obdarzoną nadzwyczajnym darem perswazji. Kobietę, która nie jest stąd, która zawiozła go na miejsce absolutnie nieprzejezdną drogą. I proszę pamiętać, że to ona siedziała za kierownicą.

– Nieprzejezdną drogą, powiada pan?

– Tak, mam nie tylko dokładne relacje świadków, ale kazałem przejechać ten odcinek mojemu brygadierowi i sam nim przejechałem. Samochód pokonał suche łożysko Canneto, ale popękały w nim zawieszania. Kiedy tylko tajemnicza nieznajoma wjechała w głębokie zarośla na „pastwisku”, dosiadła mężczyzny, który jej towarzyszył, i zaczęli odbywać stosunek. Podczas tego właśnie aktu inżynierowi przytrafił się zawał. Jak się okazało – śmiertelny. Kobieta jednak nie krzyczała, nie wołała o pomoc: z przerażającym opanowaniem wysiadła z samochodu, powoli przeszła alejką,

która prowadzi do szosy, wsiadła do nadjeżdżającego samochodu i tyle ją widziano.

– To rzeczywiście bardzo dziwne. Czy kobieta zatrzymywała samochody?

– Chyba nie, ale dotknął pan sedna sprawy. Mam odpowiednie zeznanie świadka. Samochód, do którego wsiadła, nadjechał pędem, wręcz z otwartymi drzwiami: kierowca wiedział, kogo ma zabrać, nie tracąc ani minuty.

– Proszę mi wybaczyć, komisarzu, ale czy zaprotokołował pan te wszystkie zeznania?

– Nie. Nie było takiej potrzeby. Widzi pan, jeden fakt nie budzi wątpliwości: inżynier umarł z przyczyn naturalnych. Oficjalnie nie mam żadnego powodu, żeby prowadzić śledztwo.

– Cóż, jeśli sprawy mają się tak, jak pan je zaprezentował, można by na przykład wysunąć oskarżenie o nieudzielenie pomocy.

– Zgodzi się pan ze mną, że to błahostka?

– Tak.

– Dodam, że na rzecz najważniejszą zwróciła moją uwagę pani Luparello: powiedziała mi, że jej mąż, gdy został znaleziony martwy, miał majtki włożone na drugą stronę.

– Chwileczkę – powiedział kwestor – zatrzymajmy się na chwilę. Skąd wdowa wiedziała, że mąż miał majtki włożone na odwrót, o ile rzeczywiście tak było? Przecież pani Luparello nie przyjechała na „pastwisko” i nie uczestniczyła w oględzinach.

Montalbano zmieszał się. Mówił bez zastanowienia, nie pamiętał, że nie powinien narażać Jacomuzziego, który przekazał zdjęcia wdowie. Ale już nie było odwrotu.

– Wdowa miała zdjęcia wykonane przez zakład medycyny sądowej. Nic

wiem, w jaki sposób weszła w ich posiadanie.

– Ale ja się chyba domyślam – powiedział z powagą kwestor.

– Obejrzała je dokładnie przez szkło powiększające, pokazała mi, miała rację.

– I na podstawie tego szczegółu wyrobiła sobie opinię?

– Oczywiście. Wyszła z założenia, że gdyby jej mąż, ubierając się, włożył przypadkiem majtki na drugą stronę, to w ciągu dnia musiałyby to zauważyć. Często oddawał mocz, bo brał diuretyki. Opierając się na tej właśnie przesłance, wdowa uważa, że inżynier, zaskoczony w sytuacji, łagodnie mówiąc, kłopotliwej, został zmuszony do tego, by pospiesznie się ubrać i jechać na „pastwisko”, gdzie, zgodnie z przypuszczeniami pani Luparello, miał zostać ostatecznie skompromitowany, przynajmniej do tego stopnia, że musiałyby się wycofać z działalności politycznej. Ten aspekt ma swoje rozwinięcie.

– Proszę mi nie oszczędzać szczegółów.

– Dwaj śmieciarze, którzy znaleźli ciało, przed zawiadomieniem policji poczuli się w obowiązku zadzwonić do mecenasa Rizzo, o którym wiedzieli, że jest *alter ego* Luparella. I oto Rizzo nie tylko nie okazał zdziwienia, zaskoczenia, niedowierzania, smutku, zaniepokojenia – niczego! – lecz jeszcze ich zachęcił, żeby natychmiast zgłosili ten fakt na policję.

– A skąd pan to wie? Założył pan podsłuch? – spytał oszołomiony kwestor.

– Żadnego podsłuchu. Wystarczył wierny zapis krótkiej rozmowy, jakiego dokonał jeden ze śmieciarzy. Zrobił to z powodów, które długo trzeba by tłumaczyć.

– Planował szantaż?

– Nie, planował napisać dramat. Proszę mi wierzyć, nie miał zamiaru

popęłnić przestępstwa. I tu przechodzimy do sedna sprawy, to znaczy: do osoby Rizza.

– Chwileczkę. Postanowiłem dziś wieczorem wytknąć panu słaby punkt, czyli skłonność do komplikowania rzeczy prostych. Czytał pan zapewne *Kandyda* Leonarda Sciascii. Czy pamięta pan, że bohater w pewnej chwili stwierdza, iż w gruncie rzeczy prawie wszystkie sprawy są proste? Chciałem o tym panu przypomnieć.

– Tak, ale widzi pan, Kandyd mówi „prawie wszystkie”, a nie „wszystkie”. Dopuszcza wyjątki. A sprawa Luparcihi jest przypadkiem, w którym wszystko układa się pozornie prosto.

– A w rzeczywistości wszystko jest skomplikowane?

– I to bardzo, A propos *Kandyda*: pamięta pan podtytuł?

– Oczywiście: *Sen wyśniony na Sycylii*.

– No właśnie, tu natomiast nie mamy do czynienia ze zwykłym snem, lecz z koszmarem. Zaryzykuję hipotezę, której teraz, po śmierci Rizza, już raczej nie da się udowodnić. A więc w niedzielę wieczorem, około siódmej, inżynier zadzwonił do żony i uprzedził, że wróci bardzo późno, bo ma ważne spotkanie partyjne. Tymczasem udał się do swojego domku na spotkanie miłosne. Powiem panu od razu, że ewentualne dochodzenie tożsamości osoby, z którą inżynier umówił się na cyplu Massaria, przysporzyłoby wielu kłopotów, ponieważ Luparello grał po obu stronach boiska.

– Przepraszam, ale nie rozumiem. Tak przecież mówi się o kimś, kto podstępnie działa na korzyść przeciwnika.

– Potocznie mówi się tak również o kimś, komu nie sprawia różnicy, czy zadaje się z mężczyzną, czy z kobietą.

Zachowując powagę, wyglądali jak dwaj uczeni, którzy tworzą właśnie nowy słownik.

– Co też pan mówi?! – Kwestor był zaszokowany.

– Dała mi to do zrozumienia, i to aż nazbyt jasno, pani Luparello. A nie miała żadnego powodu, żeby wprowadzać mnie w błąd, zwłaszcza w tej sprawie.

– Czy był pan w domku na cyplu?

– Tak, wszystko zostało doskonale uprzątnięte. W środku są tylko rzeczy należące do inżyniera, nic więcej.

– Niech pan kontynuuje swój wywód.

– Podczas stosunku lub natychmiast po nim, co wydaje się prawdopodobne, zważywszy na to, że znaleziono ślady spermy, Luparello umarł. Kobieta, która z nim była...

– Stop! – wtrącił kwestor. – Skąd ma pan pewność, że była z nim kobieta? Przecież sam pan przed chwilą nakreślił raczej szeroki horyzont seksualnych zainteresowań inżyniera.

– Powiem panu, dlaczego jestem tego pewny. Otóż ta kobieta, kiedy widzi, że kochanek umarł, traci głowę, nie wie, co robić, zachowuje się chaotycznie, nawet gubi naszyjnik i nie zauważa tego. Następnie się uspokaja i rozumie, że może uczynić tylko jedno: zadzwonić do Rizza, który jest cieniem Luparella, i poprosić o pomoc. Rizzo każe jej natychmiast opuścić dom, sugerując, żeby ikryła gdzieś klucz, ale tak, by on sam mógł wejść do domku. Zapewnia, że zatroszczy się o zatarcie śladów, więc nikt się nie dowie o spotkaniu, które zakończyło się tak tragicznie. Kobieta, uspokojona, schodzi ze sceny.

– Jak to „schodzi ze sceny”? Czy to nie kobieta zawiozła Luparella na „pastwisko”?

– Tak i nie. Pójdźmy dalej. Rizzo pędzi na cypel, w pośpiechu ubiera nieboszczyka, zamierza go stamtąd wynieść i zawieźć w jakieś mniej

kompromitujące miejsce. Dostrzega jednak na podłodze naszyjnik i odkrywa w szafie ubrania kobiety, która do niego dzwoniła. I wtedy przychodzi mu do głowy, że może to być jego szczęśliwy dzień.

– To znaczy?

– To znaczy, że nadarza się okazja, by wszystkich przycisnąć do muru, przyjaciół i przeciwników politycznych, i stać się postacią numer jeden w partii. Kobieta, która do niego dzwoniła, jest Ingrid Sjostrom, Szwedka, synowa doktora Cardamone, naturalnego spadkobiercy Luparella, człowieka, który na pewno nie będzie chciał się dzielić władzą właśnie z Rizzem. Rozumie pan, że rozmowa telefoniczna to jedno, a niezbity dowód, że Ingrid była kochanką Luparella, to już zupełnie coś innego. Ale można było posunąć się znacznie dalej. Rizzo wiedział, że na polityczny spadek po Luparellu rzucą się przyjaciele z jego własnej frakcji; żeby ich wyeliminować, trzeba sprawić, by dobrze się zastanowili, zanim zaczną wymachiwać sztandarami z nazwiskiem inżyniera. Należy zatem całkowicie zhańbić zmarłego, unurzać go w błocie. Rizzo wpadł na niezły pomysł: postanowił zaaranżować wszystko w taki sposób, żeby ciało zostało znalezione na „pastwisku”. A jako że Ingrid była w zasięgu ręki, zamierzał dać do zrozumienia, że ta kobieta, która chciała pojechać na „pastwisko” z Luparellem, to właśnie ona, cudzoziemka o obyczajach dalekich od klauzury zakonnej, poszukująca podniecających sytuacji. Jeżeli inscenizacja się powiedzie, będzie miał w ręku Cardamonego. Zadzwoił do dwóch swoich ludzi, których znamy, choć nie udało nam się tego udowodnić, jako specjalistów od mokrej roboty. Jeden z nich nazywa się Angelo Nicotra, jest homoseksualistą i w środowisku mu pseudonim Marilyn.

– Udało się panu zdobyć nawet jego nazwisko?

– Od informatora, do którego mam pełne zaufanie. W pewnym sensie jesteśmy nawet zaprzyjaźnieni.

– Gege? Pański kolega z klasy?

Komisarza замуrowało.

– Dlaczego pan tak na mnie patrzy? Przecież ja też jestem gliniarzem. Proszę kontynuować.

– Kiedy zjawili się jego ludzie, Rizzo kazał Marilyn przebrać się za kobietę, włożył mu naszyjnik i polecił zawieźć ciało na „pastwisko” drogą na skróty, wyschniętym korytem rzeki.

– Co chciał przez to osiągnąć?

– Kolejny dowód przeciwko Ingrid Sjóstróm, która jest mistrzynią kierownicy i potrafi przejechać ten odcinek.

– Czy aby na pewno?

– Tak. Siedziałem obok niej, kiedy przejechała tamtędy za moją namową.

– Boże! – jęknął kwestor. – Zmusił ją pan?

– Skądże! Sama miała na to ochotę.

– Czy można wiedzieć, ile osób pan w to wciągnął? Czy zdaje pan sobie sprawę, że siedzi na beczce prochu?

– Cała sprawa pęknie jak bańka mydlana, proszę mi wierzyć. A więc gdy tamci dwaj odjechali ze zwłokami, Rizzo, który przywłaszczył sobie klucze Luparella, wrócił do Montelusy i bez trudu wszedł w posiadanie poufnych dokumentów inżyniera. To właśnie one najbardziej go w tym wszystkim interesowały. Tymczasem Nicotra wykonał dokładnie to, co mu zostało zleczone: po odegraniu stosunku wysiadł z samochodu, oddalił się, tuż obok zarośli porzucił naszyjnik, a torbę cisnął za mur ogrodzenia opuszczonej fabryki.

– O jakiej torbie pan mówi?

Należącej do Ingrid Sjóstróm, z jej inicjałami. Znalazł tę torbę przypadkiem w domku i pomyślał, że się nią posłuży.

– Czy można wiedzieć, w jaki sposób doszedł pan do tych wniosków?

– Widzi pan, Rizzo rozrywał partię jedną kartą odkrytą, czyli naszyjnikiem, i jedną zakrytą, czyli torbą. Bez względu na to, w jaki sposób miałyby dojść do odnalezienia naszyjnika, stanowiłby on dowód, że Ingrid była na „pastwisku” w chwili, gdy umierał Luparello. Gdyby ktoś schował naszyjnik do kieszeni, nic nikomu nie mówiąc, Rizzo mógłby wówczas zagrać jeszcze drugą kartą – torbą. Ale patrząc na sprawę z jego punktu widzenia, można by powiedzieć, że dopisało mu szczęście, ponieważ jeden z dwóch śmieciarzy znalazł naszyjnik i przekazał go właśnie mnie. Rizzo uzasadnił zgubę klejnotu w sposób, który w gruncie rzeczy jest do przyjęcia, i równocześnie zasugerował związek łączący Ingrid i Luparella z „pastwiskiem”. Torbę natomiast znalazłem ja, idąc tropem rozbieżności między dwoma zeznaniami, czyli między faktem, że kobieta, wysiadając z samochodu inżyniera, trzymała w ręku torebkę, a faktem, że już jej nie miała w chwili, gdy na szosie wsiadała do innego auta. Krótko mówiąc, dwaj ludzie Rizza wrócili do domku, wszystko uporządkowali i oddali mu klucze. O świcie adwokat zadzwonił do Cardamonego i zaczął rozgrywać swoją partię.

– Owszem, ale stawką w tej grze okazało się jego własne życie.

– To już inna sprawa, o ile w ogóle można tu użyć tego słowa – powiedział Montalbano.

Kwestor spojrzał na niego wzburzony.

– Co pan ma na myśli? Co, u diabła, chodzi panu po głowie?

– Po prostu to, że z całej tej historii bez uszczerbku wychodzi tylko Cardamone. Czy nie zgodzi się pan, że morderstwo Rizza było dla niego absolutnie opatrnościowe?

Kwestor wybuchnął. Nie można było zrozumieć, czy mówi poważnie, czy żartuje.

– Niech pan posłucha, Montalbano, niech pan już nie dopuszcza do siebie żadnych genialnych myśli! Niech pan zostawi w spokoju Cardamonego, dżentelmena, który nawet muchy by nie skrzywdził!

– Tylko żartowałem, panie kwestorze. Pozwolę sobie zapytać: czy są jakieś nowości w dochodzeniu?

– A jakie tu mogą być nowości? Pan wie, że Rizzo był szczególnym typem człowieka. Osiem osób na dziesięć – zarówno porządnych, jak i drani życzyło mu śmierci. Dżungla, mój drogi, gąszcz potencjalnych morderców, którzy mogli dokonać tego sami lub za pośrednictwem wynajętego egzekutora. Powiem panu, że pańska opowieść zachowuje logikę tylko dla osób, które wiedzą, z jakiej gliny ulepiony był mecenas Rizzo. – Wychylił kieliszek likieru. – Zafascynował mnie pan. Pański wywód to myślowy majstersztyk, chwilami przypominał pan linoskoczka, i to pozbawionego asekuracji. Ponieważ, mówiąc brutalnie, pod pańskim rozumowaniem otwiera się próżnia. Nie ma pan żadnego dowodu na to, co mi pan opowiedział. Wszystko mogłoby zostać odczytane w inny sposób i dobry adwokat umiałby rozbroić pańską argumentację bez wielkiego wysiłku.

– Wiem.

– Co pan chce osiągnąć?

– Jutro rano powiem Lo Bianco, że jeśli chce zamknąć sprawę, nie będę stwarzał trudności.

16

– Montalbano? Mówi Mimi Augello. Obudziłem cię? Przepraszam, ale chciałem cię podtrzymać na duchu. Wróciłem do bazy. Kiedy wyjeżdżasz?

– Samolot z Palermo wylatuje o trzeciej, a więc z Vigaty muszę wyjechać około wpół do pierwszej, zaraz po obiedzie.

– Czyli nie zobaczymy się, bo w biurze będę chyba trochę później. Są jakieś nowości?

– Fazio wszystko ci opowie.

– Jak długo cię nie będzie?

– Do czwartku włącznie.

– Baw się dobrze i wypocznij. Fazio ma twój numer w Genui, prawda? Jeżeli wyniknie coś ważnego, zadzwonię.

Jego zastępca, Mimi Augello, wrócił na czas z urlopu. A że był inteligentnym człowiekiem, Montalbano mógł wyjechać bez obaw. Zadzwonił do Livii, żeby powiedzieć, o której się zjawi, a ta, uszczęśliwiona, obiecała, że będzie na niego czekać na lotnisku.

Kiedy tylko wszedł do biura, Fazio zawiadomił go, że robotnicy z warzelni soli, z którymi „rozwiązano stosunek pracy” – eufemizm ten w żaloszny sposób maskował fakt, że zostali wyrzuceni na bruk – zajęli dworzec kolejowy. Ich żony położyły się na torach, uniemożliwiając przejazd pociągów. Żandarmeria była już na miejscu. Czy oni też mają tam jechać?

– A po co?

– No nie wiem, żeby pomóc.

– Komu?

– Jak to komu, komisarzu? Karabinierom, siłom porządkowym, którymi sami przecież jesteśmy.

– Jeżeli już masz ochotę komuś pomagać, to pomóż tym, którzy okupują dworzec.

– Komisarzu, zawsze wiedziałem, że pan jest komunistą.

– Pan komisarz? Mówi Stefano Luparello. Proszę mi wybaczyć. Czy mój kuzyn Giorgio pojawił się u pana?

– Nie, nie mam od niego żadnych wiadomości.

– Cała rodzina jest bardzo zaniepokojona. Kiedy tylko obudził się po środku uspokajającym, wyszedł i znowu zniknął. Mama chciałaby zasięgnąć rady, czy nie byłoby wskazane zwrócić się do kwestury, żeby wszczęła poszukiwania.

– Nie. Proszę powiedzieć pańskiej matce, że nie wydaje mi się to konieczne. Giorgio niebawem się pojawi, proszę ją uspokoić.

– W każdym razie gdyby miał pan jakieś wiadomości, proszę dać nam znać.

– To będzie bardzo trudne, panie inżynierze, ponieważ biorę urlop, wrócę dopiero w piątek.

Pierwsze trzy dni spędzone z Li via w jej domku letniskowym w Boccadasse sprawiły, że prawie w ogóle zapomniał o Sycylii. Ołowiany sen w objęciach ukochanej przywracał mu siły, jednak dwa albo trzy razy zapach, mowa, sprawy jego wyspy chwytaly go podstępnie, unosiły lekko w powietrze i porywały na krótko do Vigaty. I za każdym razem był pewny, że Livia dostrzeże to jego chwilowe odejście, tę nieobecność. Przyglądała mu się wtedy w milczeniu.

W czwartek wieczorem otrzymał zupełnie nieoczekiwany telefon od Fazia.

– Nic ważnego, komisarzu, chciałem tylko usłyszeć pański głos i uzyskać potwierdzenie, że jutro pan wraca.

Montalbano doskonale wiedział, że kontakty brygadiera z Augellem nie należały do najłatwiejszych.

– Potrzebujesz pociechy? Ten potwór Augello dobrał ci się do dupy?

– Nigdy nie mogę mu dogodzić.

– Zachowaj cierpliwość, mówiłem, że jutro wracam. Coś nowego?

– Przedwczoraj aresztowali burmistrza i trzech radnych. Łapówkarstwo i paserstwo. Przy okazji rozbudowy portu.

– Wreszcie na to wpadli.

– Tak, komisarzu, ale proszę się nie łudzić. Tutaj chcą naśladować sędziów z Mediolanu, tylko że Mediolan jest bardzo daleko.

– Coś jeszcze?

– Odnalazł się Gambardella, pamięta go pan? To ten, którego chcieli zastrzelić, kiedy tankował benzynę. Psy go co prawda nie pożarły, ale został związany i wsadzony do bagażnika własnego samochodu, który po podpaleniu doszczętnie spłonął.

– Skoro doszczętnie spłonął, to skąd wiesz, że Gambardellę związano?

– Użyli drutu, komisarzu.

– Do jutra, Fazio.

Tym razem nie tylko zapach i mowa jego ziemi wciągnęły go w jej klimat, lecz również głupota, okrucieństwo i potworność.

Kochali się, następnie Livia po dłuższym milczeniu wzięła go za rękę.

– Co się dzieje? Co ci powiedział brygadier?

– Nic ważnego, możesz mi wierzyć.

– A więc dlaczego tak posmutniałeś?

Montalbano utwierdził się w swoim przekonaniu: jeżeli żyje gdzieś na świecie osoba, której mógłby wyznać absolutnie wszystko, to osobą tą jest Livia. Kwestorowi wyjawiał tylko pół prawdy i zdradził tylko połowę faktów. Uniósł plecy i oparł się wygodnie na poduszce.

– Posłuchaj.

Opowiedział jej o „pastwisku”, o inżynierze Luparello, o uczuciu, które do niego żywił siostrzeniec Giorgio, o tym, jak w pewnym momencie to uczucie przerodziło się (wyrodziło się, wynaturzyło?) w miłość, namiętność, o ostatnim spotkaniu w garsonierze na cyplu Massaria, o śmierci Luparella, o tym, jak Giorgio niemal oszalał ze strachu przed skandalem, nie ze względu na siebie, lecz z obawy o dobre imię wuja, o tym, jak chłopak pospiesznie go ubrał, jak wciągnął ciało do samochodu i chciał je wywieźć, aby zostało odnalezione z dala od domku. Opowiedział o rozpaczach Giorgia, który zdał sobie sprawę, że to oszustwo się nie klei, że wszyscy by się zorientowali, że przewozi trupa, o pomyśle, żeby założyć mu kołnierz ortopedyczny, który jeszcze kilka dni wcześniej sam musiał nosić i który nadal miał w aucie, o tym, jak próbował zakryć go czarną szmatką, o tym, jak w pewnej chwili się przestraszył, że dopadnie go atak epilepsji, na którą był chory, i zdecydował się zadzwonić do Rizza, o tym, jak adwokat zrozumiał, że ta śmierć, po niewielkich korektach, może się okazać jego szczęśliwym losem.

Opowiedział o Ingrid, o jej mężu Giacomie, o doktorze Cardamone, o przemocy – nie mógł znaleźć lepszego słowa – jaką ten stosował wobec synowej („ale dno”, skomentowała Livia), o tym, że Rizzo domyślał się tego związku, o tym, jak próbował wciągnąć w to Ingrid, w co uwierzył mu Cardamone, ale nie on. Opowiedział jej o Marilyn i jego współniku, o

oblędnej podróży suchym korytem rzeki, o makabrycznej pantomimie w samochodzie zaparkowanym na „pastwisku” („przepraszam cię na chwilę, muszę się czegoś napić”). A kiedy wróciła, opowiedział jej jeszcze kilka potwornych szczegółów, o naszyjniku, o torbie, o ubraniach, opowiedział o rozdzierającym żalu Giorgia na widok zdjęć, kiedy zrozumiał podwójną zdradę Rizza: wobec Luparella i wobec niego, siostrzeńca, który za wszelką cenę chciał ocalić dobrą pamięć o inżynierze.

– Zaczekaj chwilę – powiedziała Livia. – Czy ta Ingrid jest ładna?

– Piękna. A że domyślałam się, co cię trapi, powiem więcej: zniszczyłem wszystkie obciążające ją dowody.

– To nie w twoim stylu – Livia była urażona.

– Zrobiłem coś jeszcze gorszego, posłuchaj. Rizzo, który miał Cardamonego w garści, osiągnął swój cel polityczny, ale popełnił błąd, nie doceniając Giorgia. To chłopak o nadzwyczajnej urodzie.

– On też?! – Livia próbowała zażartować.

– Ale ma niezwykle delikatny charakter – kontynuował komisarz. – Pod wpływem emocji, wstrząśnięty, pobiegł do domu na cypel Massaria, wziął pistolet Luparella, spotkał się z Rizzem, zmasakrował go, a potem jeszcze strzelił mu w kark.

– Aresztowałeś go?

– Nie, mówiłem ci, że zrobiłem coś jeszcze gorszego od niszczenia dowodów. Widzisz, moi koledzy z Montelusy myślą, i nie jest to hipoteza, którą łatwo wykluczyć, że Rizza zamordowała mafia. A ja zataiłem to, co uważam za prawdę.

– Ale dlaczego?

W odpowiedzi tylko rozłożył ręce.

Livia poszła do łazienki, komisarz usłyszał szum wody wypełniającej

wannę. Kiedy później spytał, czy może wejść, zobaczył, jak siedzi po szyję w wodzie, z podbródkiem opartym na zgiętych kolanach.

– Czy wiedziałeś, że w tym domu jest pistolet?

– Tak.

– I zostawiłeś go tam?

– Tak.

– Awansowałeś sam siebie, co? – spytała po dłuższym milczeniu. – Z komisarza na boga. Drugorzędnego, ale jednak boga.

Kiedy wysiadł z samolotu, pobiegł do baru na lotnisku: po ohydnej ciemnej popłuczynie, którą podali mu w samolocie, łąknął prawdziwej kawy. Usłyszał, że ktoś go woła. Po chwili stanął przed nim Stefano Luparello.

– Co słyhać, inżynierze, wraca pan do Mediolanu?

– Tak, wracam do pracy, już i tak za długo mnie tam nie było. Zamierzam też poszukać większego domu: kiedy tylko coś znajdę, przyjedzie do mnie mama. Nie chcę zostawiać jej samej.

– Świetna myśl. choć w Montelusie ma przecież siostrę, siostrzeńca...

Inżynier drgnął.

– A więc pan nie wie?

– O czym?

– Giorgio nie żyje.

Montalbano odstawił filiżankę, z wrażenia o mało nie wypuścił jej z dłoni.

– Jak to się stało?

– Pamięta pan, że w dniu pańskiego wyjazdu zadzwoniłem, żeby się dowiedzieć, czy się nie odezwał?

– Pamiętam doskonale.

– Następnego dnia rano nadal go nie było. Wówczas poczułem się w obowiązku zawiadomić policję i karabinierów. Proszę mi wybaczyć, ale ich poszukiwania były bardzo powierzchowne, może za bardzo się zaangażowali w sprawę mecenasa Rizzo. W niedzielę po południu rybak zobaczył z łodzi samochód roztrzaskany na skałach, dokładnie pod zakrętem do Sanfilippo. Czy wie pan, gdzie to jest? Niedaleko cypla Massaria.

– Tak, znam to miejsce.

– Otóż rybak powiosłował w kierunku samochodu i na miejscu kierowcy zobaczył zwłoki, więc szybko podniósł alarm.

– Czy udało się ustalić przyczyny wypadku?

– Tak. Mój kuzyn, jak pan dobrze wie, od śmierci taty żył w stanie wewnętrznego zagubienia, brał za dużo środków uspokajających i nasennych. Zamiast wejść w zakręt, pojechał prosto, a pędził z dużą prędkością, i przebił ogrodzenie. Po śmierci mojego ojca już nie odzyskał równowagi, żywił w stosunku do niego autentyczne przywiązanie, miłość.

Wypowiedział te dwa słowa, „przywiązanie” i „miłość”, tonem stanowczym, niepodważalnym, jak gdyby wyrazistością konturu chciał zdyskwalifikować wszelkie możliwe odstępstwa od znaczenia, które usiłował im nadać.

Przez głośniki wezwano pasażerów czekających na lot do Mediolanu.

Kiedy tylko Montalbano opuścił lotniskowy parking, na którym zostawił samochód, nacisnął gaz do dechy. Nie chciał myśleć o niczym, po prostu skupił się na jeździe. Pokonawszy około setki kilometrów, zatrzymał się nad brzegiem sztucznego jeziora, otworzył bagażnik, wziął kołnierz ortopedyczny, wrzucił go do wody i odczekał, aż pójdzie na dno. Dopiero wtedy się uśmiechnął. Chciał postąpić jak bóg, Livia miała rację, ale ten drugorzędny bóg za swoim pierwszym i – miał nadzieję – ostatnim

podejściem okazał się nieomylny.

Żeby dotrzeć do Vigaty, siłą rzeczy musiał przejechać przed kweturą w Montelusie. I właśnie tam jego samochód postanowił nagle zawiesić swoje funkcje życiowe. Montalbano próbował kilkakrotnie go uruchomić, ale bez rezultatu. Wsiadł i miał już wejść do budynku, żeby prosić o pomoc, kiedy podszedł doń znajomy agent, który obserwował jego daremne manewry. Podniósł maskę, trochę pod nią poszperał.

– Wszystko w porządku. Ale samochód wymaga przeglądu.

Montalbano wsiadł do wozu, włączył silnik, pochylił się, żeby pozbiierać gazety, które upadły mu na podłogę. Kiedy podniósł głowę, zobaczył Annę. Opierała się o ramę otwartego okna.

– Jak się masz, Anno?

Dziewczyna patrzyła na niego w milczeniu.

– Co jest?

– I ty miałbyś być uczciwym człowiekiem? – syknęła.

Montalbano zrozumiał, że chodzi jej o tę noc, kiedy w jego łóżku zobaczyła półnagą Ingrid.

– Nie, nie jestem – odparł. – Ale nie z tego powodu, o którym myślisz.

Nota autora

Uważam za nieodzowne oświadczyć, że ta opowieść nie zrodziła się z kroniki wypadków i nie łączy ze sobą faktów, które miały miejsce w rzeczywistości. Krótko mówiąc, jest wyłącznie tworem mojej wyobraźni. Ponieważ jednak ostatnimi czasy rzeczywistość z powodzeniem konkuruje z wyobraźnią, a wręcz ma ochotę ją wyprzeć, mogła mi się przydarzyć jakaś nieprzyjemna zbieżność nazwisk lub sytuacji. Ale za takie przypadki, jak wiadomo, nie można ponosić odpowiedzialności.

* * * *